

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 8 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 2 lutego 1947 r. | Nr 5 (84)

Stanisław Cieślak

PRZYSZŁOŚĆ ROLNICTWA (II) *)

Plan Odbudowy Gospodarczej na plan pierwszy wysuwa słusznie sprawę odbudowy zdolności produkcyjnej rolnictwa. Zamierzenia planu są bardzo śmiałe, gdyż przewiduje on, że produkcja rolna na głowę ludności w roku 1949 powinna przewyższyć poziom produkcji rolnej roku 1938. W tej dziedzinie mamy do pokonania dwie trudności: odrobienie zniszczeń wojennych i zagospodarowanie odłogów.

Zniszczenia wojenne nie dotyczą jedynie budynków wiejskich, obejmują również stan pogłowia, narzędzia, a nawet ziemię, która niezasilana w okresie okupacji i wojny, wyjaławiała. Tragicznie zwłaszcza z punktu widzenia zdolności produkcyjnej rolnictwa, przedstawia się sprzężaj. Ilość koni czy traktorów jest w wysokim stopniu niedostateczna i słusznie Plan Odbudowy Gospodarczej na tę dziedzinę zwraca dużą uwagę. Mimo wielkich wkładów, zarówno w odbudowę budynków, odbudowanie stanu pogłowia zwierzęcego i zagospodarowanie odłogów, ze względu na ogrom zniszczeń wojennych w początkowym okresie Planu będziemy mieć do czynienia z procesami dekapitalizacyjnymi w rolnictwie. Szczupłość środków, jakimi dysponujemy, **nie pozwoli** do roku 1949 zaleczyć wszystkich ran zadanych rolnictwu przez wojnę.

Przy szczupłości środków nakazem chwili jest jak najbardziej racjonalne i jak najbardziej oszczędne używanie tych środków. Skoncentrowanie się na odbudowie budynków, odbudowie pogłowia, zwiększeniu wydajności ziemi — jest całkowicie słuszne. Inne, nie mniej potrzebne zagadnienia, jak: melioracje, czy komasacje, z konieczności musiały być odsunięte na plan dalszy i znajdą pełniejszy wyraz w przyszłych planach gospodarczych.

Wysunięcie sprawy zwiększenia produkcji rolnej na plan pierwszy w Planie Odbudowy Gospodarczej pociąga za sobą konieczność pewnych ulepszeń w systemie gospodarowania. Gospodarstwa chłopskie jednorodzinne z natury rzeczy są gospodarstwami, które mało stosunkowo towarów dostarczają na rynek. **Utowarowienie** gospodarstw chłopskich konieczne, da się osiągnąć pod pewnymi warunkami:

a) należy dążyć do stopniowego upełnorolnienia gospodarstw chłopskich, co da się osiągnąć przez wzmożenie akcji osadniczej na Ziemie Odzyskane;

b) racjonizację upraw i hodowli, której wymaga różna struktura geograficzna i klimatyczna poszczególnych regionów w Polsce. Należy walczyć z tradycyjnymi przyzwyczajeniami w zakresie takiej a nie innej produkcji, jakie osadnicy przynoszą ze sobą na Ziemie Odzyskane, których możliwości dostatecznie jeszcze nie poznali;

c) powinna nastąpić specjalizacja gospodarstw chłopskich w tym stopniu, na jaki pozwala charakter gospodarstwa chłopskiego. Należy przełamywać przywiązanie do gospodarki **naturalnej**, w ramach której chłop starał się wyprodukować w swoim gospodarstwie to wszystko, co do utrzymania rodziny chłopskiej potrzeba. Bez specjalizacji nie ma zwiększenia produkcji i nie ma potanienia produkcji. Rolnik nie może się znać na wszystkich gałęziach produkcji jednakowo.

d) ta specjalizacja wymaga zaufania mas chłopskich **do aparatu wymiany towarowej.** Niedostateczna sieć spółdzielczego aparatu zaopatrzenia musi być jak najszybciej rozbudowana. Nie należy zapominać i o tym, że nie tylko wymiana między wsią i miastem, ale **również wymiana w obrębie wsi posiada podstawowe znaczenie dla unowocześnienia gospodarki rolnej w Polsce.**

Konieczność zwiększenia produkcji rolnej wymaga większej mechanizacji rolnictwa. Mechanizacja ta pozwoli na zwiększenie wydajności pracy ludz-

*) Patrz: I część — „Rolnictwo w planie odbudowy gospodarczej", „Wieś" nr 4(83).

Za liczbami — obywatele

Z wyborami jest rzeczywiście inaczej, niż z reformami: Przypomnijmy sobie, jak w okresie okupacji inspirowane „Londynem" nasze ludowe pisma konspiracyjne odkładały reformę rolną na sejm, jak zgłaszały obronę prywatnej własności wszelkiego stopnia i rodzaju. I kiedy reformę rolną przeprowadziliśmy — pamiętamy — długie miesiące upłynęły, nim prawica ludowa wyzbyła się wobec niej zastrzeżeń. Czytałem nie tak dawno w „Wiciach" ocenę reformy, nie to jest ważne— pisano — *kto ją przeprowadził, chłopi czy nie chłopi,* ważne jest to, że stanowiła wielką, półwiekową, tęsknotę wsi. Proces „przyswajania sobie" reform trwa w czasie i nie jest równoczesny z ich dokonaniem. Z tego zdawaliśmy sobie sprawę, ale dlatego jasne dla nas było, że „przyswajanie sobie" przez naród i reform i nowej polityki wydać może jeden owoc: solidarność w kroczeniu drogami wytyczonymi przez te przełomowe decyzje. Wybory nie mogły więc być aktem niezależnym od tamtych ogniw. Musiał się w wyborach wyrazić stopień przyswojenia reform. Milion głosów rzuconych w Referendum przeciw Ziemiom Zachodnim wywołał ozdrowieńczy wstrząs w narodzie. Zrozumiano, że nowej polityki lekceważyć nie można, że nie można żyć poza nią, jeśli się nie chce zniszczyć narodu. I trzy miliony rzucone za senatem również wstrząsnęły sumieniem społeczeństwa, sumieniem zbałamuconej wsi. Cóż to za polityka, która dla „swoich celów" każe występować przeciw od dziesiątek lat głoszonemu żądaniu zniesienia znienawidzonej instytucji, narzędzia ubezpieczającego pozycje panujących klas. Te liczby otrzeźwiły naród, otrzeźwiły wieś. Za małe, aby oznaczać taktykę polityczną, a za wielkie jednak były, aby nie powiedzieć — zdrada ludu!

Pozostawała sprawa, w jakim stopniu naród rozezna się w tym, kto naprawdę jest gwarantem reform, kto naprawdę potrafi dalej konsekwentnie na ich fundamencie budować sprawiedliwą i mocną Polskę? I w tym się nie zawiedliśmy. Stoją przed nami cyfry wyników wyborów, których wymowa dla kraju i za granicy jest jednoznaczna. W czerwcu próbne doświadczenie solidarności nauczyło nas w następnych miesiącach, co znaczy dać Zachodowi nadzieję na niezgodę i różnice. Usłyszeliśmy, jak po tamtej wojnie, głosy wołające — zwróćcie Ziemie Odzyskane! Naród tę lekcję zapamiętał. Nie może być dwóch głosów — ambasadora i narodu. Cóżby to był za głos naszego przedstawiciela 10 marca w Moskwie, gdyby w wyborach naród nie okazał się jednolity. Tego głosu wyrazicielem będzie ambasador. I z tym głosem liczyć się będą alianci. I już się liczą — jeśli dobrze wniknąć w sens depeszy Bevina do Stalina. Przesyła się ją po naszych wyborach.

A nasze wybory... jako wyraz „przyswojenia sobie" reform i kierunku polityki ludowej? Żeby je w pełni ocenić trzeba się sposobem cofnąć od liczb do ludzi. Trzeba sobie wyobrazić znajomych i z potoku ich słów wylewanych i w prawo i w lewo wyłowić ów rosnący z miesiącami pozytywny do nowego ustroju nurt rozumnego myślenia obywatelskiego.

I ja się rozglądam wśród moich znajomych. Ale nie wśród tych „patentowanych" i nie wśród zaawansowanych i na świecznikach. Wprost przeciwnie, łowię głosy znanych mi a dalekich przestrzenią, pozycją socjalną a nawet politycznym rodowodem. Zobaczmy ich przed wyborami.

Oto pierwsza postać. Ciotka wojewody, Dybowskiego. Chłopka z pochodzenia. Nazywa się Paulina Urbankiewicz, mieszka w Linmess w Stanach Zjednoczonych. Mieszka tam od kilkudziesięciu lat. Dorobiła się. Ma magazyn. Siostrzeniec, wojewoda napisał do niej. A ciotka niepomna, że odpowiada wojewodzie, pisze nie szczędząc familijnych rad, co następuje:

Linmes, dn. 27.XII.1946 r.

„Donosisz mi, iż kandydujesz na posła z Stronnictwa Ludowego: (czy z partii ob. Mikołajczyka?) jeśli tak należałoby przyjrzeć się bacznie czego właściwie chce ob. Mikołajczyk i co jego działalność Polsce dać może. Opozycja, którą przedstawia ob. Mikołajczyk nie budzi mego zaufania, ponieważ pochodzi z Londynu ma poparcie z Anglii, a to jest właśnie słaba strona zbudowania Polski silnej i przemysłowej. Opieka Anglii jest wątpliwej wartości. Anglia potęgę swoją zbudowała dzięki niesłychanemu krętactwu i zasadzie. Że idzie z każdym kto jej potrzebny i zdradzi każdego, kto przestanie być potrzebny. Lud angielski korzysta z tego co rząd jego zrabuje w innych krajach, a że to pomaga i wielkim i małym, więc z tego tam taka cudowna harmonia, rząd zmienia się wedle potrzeby, raz prawica, to znowu lewica, każdy jak potrzebuje otrzyma „wotum zaufania" bo lud angielski wie, iż każdy pracuje wyłącznie dla Anglii. Wszystko to tak naturalnie i tak pięknie wygląda. Anglia daje też światu urzędników dygnitarzy zajmujących dobrze płatne synekury, a my, trzeba przyznać iż dotąd dawaliśmy światu niewolników, bo nie ma na całym świecie emigracyjnego szlaku, gdzie nie można spotkać polskiego Bandosa. Po zalaniu Polski przez niemców przyszła do mnie kobieta, która mi powiedziała: No to już niemcy zlikwidowali wasze sezonowe Państwo, a wy myślicie, że jesteście mocarstwem.

Bądź więc ostrożny chłopcze, aby zamiast Polski przemysłowej nie zbudować „sezonowej" bo skłócona i słaba może być łatwym pionkiem w przetargach międzynarodowych. W polityce nie wolno się kierować mrzonkami, gdzie jest wspólny wróg, tam jest wspólny interes i tam trzeba szukać oparcia. Niemcy w ostatniej wojnie odkryli bardzo wyraźne zamiary swoje względem polskiego plemienia. Strzeżcie więc, aby Polska raz jeszcze nie znalazła się w zasięgu ich żelaznego uścisku. Słyszałam, że przed rokiem 1939 Polska miała parę miljonów „chamów" na wywóz; nie trzeba chamów wywozić, trzeba im dać oświatę i wydobyć ich z nędzy i poniżenia, a będzie z nich naród. Ludzie ci nie pójdą w ciężkiej chwili, aby gdzieś burzę przeczekać, tylko naprawdę powiedzą: Nie damy ziemi skąd nasz ród!"

Drugi znajomy. Krawiec — Józef Wiech. Krawcem był przed wojną i podczas okupacji. Pamiętam jego pracownię w Kielcach przy bocznej uliczce, w niskiej izbie. Pamiętam, jak pan Józef chętnie przerywał robotę ilekroć nadarzała się okazja do „pomówienia". Samouk, z zawziętością zdobywał erudycję historyczną i jakże przepysznie zarysował przy jej pomocy położenie stanu rzemieślniczego, on, który ukrył sztandar cechowy i księgi przed okupantem, on który nie przyjął mundurów niemieckich do szycia. Ale i on, jak inni, rozczytany w londyńskiej prasie konspiracyjnej i on jak inni małomiasteczkowi rzemieślnicy wojował ideologicznie z socjalistą - malarzem, częstym tu gościem.

Nie widziałem się z nim od 3-ch lat. Czytał „Wieś", zawsze czytywał kilka pism. Pamiętał o mnie. Aż go wreszcie pobudziły do napisania listu — wybory:

Gorzów Wlkp. 2.I.1947 r.

„Obywatelu Redaktorze!

Piszę do Was z Gorzowa z miasta, które jest uważane za stolicę Ziemi Lubuskiej. Do Gorzowa ściągnęła mnie nienawiść do Niemców. Jak tylko przeczytałem w prasie nawoływania rządu, aby zaludniać ziemie odzyskane, zaraz zacząłem likwidować swoją pracownię i oglądać się za miejscowością, w której bym mógł osiąść. Na Gorzów zdecydowałem się dlatego, że to 130 klm. od Berlina. Na Dolnym Śląsku mógłbym korzystniej się osiedlić, bo tu to nic po niemcach nie zastałem wszystko oszabrowane już było, lecz cieszę się, że swoją skromną osobą i małą pracownią mogłem się przyczynić do zaludnienia tych ziem.

Nawet muszę się pochwalić, że odniosłem tu pewien sukces, a mianowicie w wyborach do Cechu zostałem wybrany starszym cechu.

Ja doskonale to rozumię, że my żyjemy w takich czasach, które analogie mogą znaleźć tylko w XIII wieku, kiedy to po odpłynięciu nawały wschodnio tatarskiej, Polska przedstawiała obraz podobny do dzisiejszego: poniszczone, popalone miasta i wsie, ludność wymordowana lub wywieziona w jassyr. Tylko dzisiaj te ziemie możemy zaludnić sami, nie tak jak wtedy, że musieliśmy sprowadzać kolonistów niemców, a później wciąż skutki tego odczuwaliśmy.

Czy Redaktor kandyduje ze Stronnictwa Ludowego w czasie wyborów do Sejmu? Jeżeli tak, to w jakim okręgu.

Miał Redaktor szczęście należeć do K. R. N. i wydawać takie znamienne uchwały jak upaństwowienie przemysłu i zniesienie dużych własności ziemskich. Ciekawy jestem jak się ułoży przyszły Sejm, czy nie będzie tak jak pierwszy w 1923, gdzie nie było zgody wśród stronnictw, aż przyszedł faszyzm Piłsudskiego.

Niedługi czas już to pokaże.

Jeżeli Redaktor byłby kiedy na ziemi lubuskiej to proszę zawitać do Gorzowa, do skromnego mistrza krawieckiego, który się kreśli wyrazami życzliwości".

Trzeci znajomy. Partyzant Świętokrzyski. Syn chłopski z maturą, którego w kleszcze wziął od r. 1940 Z. W. Z. Niemców umiał bić mocno, ale i dla swoich, dla chłopów, miał ciężką rękę. Za co? Że podbierali mu zrzuty angielskie. Nie zdając sobie sprawy stawał się coraz powolniejszym narzędziem w rękach sanacyjnego dowództwa. Wykonywał wojskową powinność — a z niej rosła nienawiść do własnej klasy, do chamów, które się ważą przeciw „rządowi" i porządkowi konspiracyjnemu broń podnieść. W 45 roku skrył się, z początkiem 46 zbiegł za granicę. Od kilku miesiecy jest w Wojsku Polskim. Wrócił i zgłosił się. Wojsko go przyjęło. Przypadkiem dowiedziałem się o tym. To mój młodszy kolega — napisałem. Oto jego odpowiedź.

Nyssa, dn. 13.I.47 r.

„Kolego!

Tak, macie rację — przeszedłem pewną ewolucję — nawet do pewnego stopnia kryzys duchowy. Nie uważam tego jednak za kapitulację, a raczej jako zdolność oceny właściwych i logicznych zjawisk w życiu. Poza tym przeszedłem wielkie rozczarowanie. Trudno mi w tej chwili pisać o tym — byłoby to brutalnością — przecież jestem kombatantem A. K. — oczywiście w sensie przeszłości.

Byłem jakiś czas w ub. roku po „tamtej stronie". Byłem dwa tygodnie w Paryżu i jakiś czas w Londynie. Zetknięcie się z tamtą rzeczywistością ostatecznie wpłynęło na moją decyzję—i ujawniłem się. Powiadam ostatecznie — bo przed tym brały mię już osiągnięcia obecnego Rządu. I to jakie osiągnięcia! Mnie jako akowcowi ciężko było początkowo przyznać się przed samym sobą, że Wy tak dobrze potraficie gospodarzyć".

Czytelnicy, pomyślcie o swoich znajomych, a w pełni zrozumiecie do jakiego stopnia posunął się w kraju proces „przyswojenia sobie" dokonanych reform i kierunku nowej Polski Ludowej.

J. A. KRÓL.

kiej, pozwoli na pełniejsze wykorzystanie zbiorów, i co najważniejsze w naszych warunkach gospodarczych — złagodzi ten głód rąk roboczych, jakie rolnictwo nasze będzie coraz silniej odczuwać. Plan Odbudowy Gospodarczej słusznie kładzie duży nacisk na zaopatrzenie rolnictwa w maszyny i narzędzia. **Potrojenie** w okresie Planu produkcji maszyn rolniczych i dążenie do wyprodukowania takich typów, które najpełniej dadzą się wykorzystać w gospodarstwach chłopskich, wymaga specjalnego podkreślenia.

Z mechanizacją rolnictwa wiąże się ściśle sprawa elektryfikacji wsi. Bez dostarczenia wsi taniej energii, jako źródła siły, trudno mówić o unowocześnieniu rolnictwa, a w dodatku sprawa ta ma inny aspekt. W naszym klimacie elektryfikacja wsi jest dostarczeniem światła na wieś, którego brak, zwłaszcza w miesiącach zimowych, tak dotkliwie odbija się na oświacie ogólnej i zawodowej, oraz utrudnia zajmowanie się ludności rolniczej rzemiosłem i innymi zajęciami nie-rolniczymi w martwych dla rolnictwa sezonach.

Plan Odbudowy Gospodarczej niedostateczny kładzie nacisk na rozwój przetwórstwa i przemysłu rolnego. Rozwój tego przemysłu stanowi warunek pełnego wykorzystania surowców, energii i pracy, daje olbrzymie oszczędności w transporcie, tej pięcie Achillesowej naszego gospodarstwa narodowego, ma olbrzymi wpływ na podniesienie jakości odżywiania ludności miejskiej i wiejskiej. Nie trzeba dodawać, że rozwój przemysłu rolnego i przetwórstwa ma olbrzymi wpływ na dochodowość gospodarstw chłopskich i całego rolnictwa. Obecny podział dochodu społecznego, **przy którym warstwa pośrednia posiada zbyt duży udział, wynika właśnie z niedostatecznego zrozumienia znaczenia przemysłu rolnego i przetwórstwa dla wsi.**

Do przemysłu rolnego zaliczam przemysły: a) oparte na surowcu rolniczym, b) dostarczające odpadków i produktów ubocznych, niezbędnych dla rolnictwa.

Należą do nich:
przemysł cukrowniczy
przemysł mleczarski
przemysł gorzelniany
przemysł młyński
przemysł konserwowo - mięsny
przemysł konserwowo - owocarsko - warzywniczy
przemysł olejarski
przemysł ziemniaczany.

Poszczególne działy przemysłu rolnego winny być zorganizowane w **przymusowych zrzeszeniach branżowych** bez względu na osobę właściciela. Ponieważ głównym dysponentem przemysłu rolnego na zasadzie ustawy o nacjonalizacji przemysłu jest spółdzielczość, głos spółdzielczości w tych zrzeszeniach powinien być dominujący. Głównym zadaniem tych zrzeszeń jest planowanie i kontrola produkcji oraz utrzymanie sprawności technicznej aparatu produkcyjnego. Dotychczasowe szczupłe jeszcze doświadczenia np. ze Zrzeszeniem Producentów Spirytusu — pozwalają rokować jak najlepsze nadzieje. O organizację branżową wołają dziś i inne działy przemysłu rolnego, jak np. młyny, przetwórnie owocarsko-warzywnicze.

Istnienie przymusowych zrzeszeń branżowych nie uszczupla w niczym spółdzielczości. Wymiana towarowa między wsią i miastem stanowi domenę spółdzielczości, a ściślej mówiąc — Spółdzielczej Centrali Gospodarczej, opartej o sieć powiatowych, samorządowych hurtowni powiatowych oraz gminnych spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w terenie. Zrzeszenia branżowe przemysłu rolnego nie stanowią żadnej konkurencji dla aparatu spółdzielczego, a przeciwnie posługują się nim zarówno w zdobywaniu surowca, jak i w zdobywaniu swoich przetworów.

System gospodarki planowej wymaga wpływu na całość gospodarki a nie da się tego wpływu uzyskać, jeśli Państwo i spółdzielczość będą dysponować w przemyśle rolnym tylko pewną ilością t. zw. kluczowych obiektów. Przemysł rolny, pracujący na surowcu krajowym, dostarczanym przez gospodarstwa chłopskie, nawet gdy będzie miał charakter przemysłu lokalnego, będzie miał zawsze wyższość nad obiektami przemysłu rolnego wielkimi kluczowymi, położonymi zdala od źródeł surowca. Wywieranie przez spółdzielczość wpływu np. tylko na młyny kluczowe, może pozbawić ją wpływu na obrót mąką w całym kraju.

D) Organizacja Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych.

W związku ze zmianą ustroju i przejściem do systemu gospodarki planowej, zasadniczej zmianie ulec musi organizacja Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych.

W Polsce jak i w większości państw europejskich ministerstwo to powstało z zarządu dóbr państwowych stanowiących niegdyś własność korony. Z czasem doszły do tego stworzone w ustroju kapitalistycznym funkcje administracji rolnej (kontrola obrotu ziemią, licencjonowanie hodowli itp.), używano również tego aparatu w momentach krytycznych do doraźnych interwencji państwa na terenie rolnictwa przeważnie w momentach zagrożenia interesów obszarników.

W warunkach ówczesnego ustroju wpływ Ministerstwa R. i R. R na produkcję rolną był prawie żaden. Zmiany w rolnictwie były dziełem dobrowolnych organizacji rolniczych, ale wszystkie one **opanowane przez ziemian** służyły tylko ich interesom.

Po wyzwoleniu przedwojenny aparat Ministerstwa R. i R. R. zarówno przez swój skład klasowy jak i dotychczasowe tradycje pracy okazał się całkowicie nieprzydatny do przeprowadzenia reformy rolnej. Dokonała się ona przy pomocy aparatu społecznego poza Ministerstwem Rolnictwa i R. R. a brak fachowców rolniczych z poza klasy ziemiańskiej utrudniał w wysokiej mierze przeprowadzenie zamierzeń rządu demokratycznego po linii poprawy sytuacji gospodarstw chłopskich.

Jeśli do tego dodamy powstanie nowych ministerstw (Aprowizacji i Handlu, Leśnictwa, Ziem Odzyskanych, Handlu Zagranicznego i Żeglugi, Odbudowy i tp.), które przejęły część dotychczasowych funkcji Ministerstwa R. i R. R. ale bez ścisłego zorganizowania kompetencji — to otrzymamy w rezultacie dość ponury obraz państwowego ośrodka dyspozycji dla rolnictwa.

Ten stan rzeczy w szybkim czasie musi ulec zmianie. Kierownictwo i cały aparat Ministerstwa R i R. R. musi być oczyszczone z elementów przeciwnych demokracji ludowej a zakres i jego organizacja pracy dostosowany do potrzeb gospodarki planowej.

Przed Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych w systemie gospodarki stoją następujące zadania:

1. przebudowa ustroju rolnego,
2. planowanie i organizacja produkcji rolnej i przemysłu rolnego,
3. kontrola planów produkcyjnych rolnictwa i przemysłu rolnego.
4. finansowanie rolnictwa i przemysłu rolnego,
5. rozwój nauki i oświaty rolniczej,
6. prowadzenie państwowych przedsiębiorstw rolniczych,
7. wykonywanie administracji rolnej.

W zarządzie centralnym odpowiednikiem tych zadań byłyby odpowiednie departamenty. Administracja rolna, przebudowa ustroju i oświata rolnicza w I i II instancji powinny być zespolone z władzami administracji ogólnej. Wojewódzkie i Powiatowe Urzędy Ziemskie wchodzić winny w skład Urzędów Wojewódzkich i Starostw

Wykonanie planu produkcji rolnej spoczywać winno na Związku Samopomocy Chłopskiej, dysponującym do tego celu odpowiednim **zespołem pracowników agronomii społecznej i aparatem spółdzielczym.**

Taka struktura przy ustaleniu podstaw organizacyjnych i norm prawnych poszczególnych dziedzin rolnictwa i przemysłu rolnego pozwoli na sprawne funkcjonowanie państwowego ośrodka dyspozycji dla rolnictwa, jakim powinno być Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych.

E) Rola organizacji zawodowej chłopskiej.

Związek Samopomocy Chłopskiej obok spółdzielczości jest tym najważniejszym instrumentem, dzięki któremu można sobie zapewnić dyspozycyjność prywatnych gospodarstw chłopskich w ramach planu państwowego. Związek Samopomocy Chłopskiej bowiem jako **federacja zrzeszeń branżowych** producentów rolnych współuczestniczy jako czynnik społeczny w **układaniu i realizacji planu oraz informuje państwowy ośrodek planowania o potrzebach i możliwościach poszczególnych terenów i branż.** Dysponując zaś zarówno fachowym aparatem pracowników agronomii społecznej, jak również i aparatem spółdzielczości chłopskiej, ma **możność wpływania na kierunek, jakość i ilość produkcji rolniczej w Polsce.**

W ten sposób Plan Odbudowy Gospodarczej staje się ramami, które wypełnia **samorządny** wysiłek producentów, zrzeszonych w Związku Samopomocy Chłopskiej.

Ścisła współzależność spraw kulturalno - oświatowych i zdrowotnych z gospodarczymi sprawia, że Związek Samopomocy Chłopskiej musi z równą troską traktować gospodarkę wiejską w Polsce, jak i potrzeby kulturalne i zdrowotne wsi. Ujęcie w jednym Planie Odbudowy Gospodarczej zarówno inwestycji gospodarczych jak i kulturalno - oświatowych (np. sieć szkół rolniczych, szpitali, ośrodków zdrowia i tp.) należy przyjąć z dużym uznaniem, chodzi bowiem o to, aby z podnoszeniem się produkcji rolnej rosła w tym samym tempie możliwość zaspokojenia potrzeb kulturalnych wsi.

Wielka rola Związku Samopomocy Chłopskiej w realizacji Planu Odbudowy Gospodarczej jest wyrazem demokratyzacji życia gospodarczego i społecznego wsi, *co jest naczelnym* zadaniem Państwa Ludowego.

F) Warunki realizacji Planu.

Realizacja Planu Odbudowy Gospodarczej zależy od wielu warunków. Na wszystkie z nich mamy wpływ. Wymaga bowiem z jednej strony trwałego układu sił politycznych na arenie międzynarodowej i wewnętrznej, układu korzystnego dla mas ludowych, w których interesie planowanie się odbywa. Wymaga zwiększenia udziału Polski w międzynarodowej, a zwłaszcza sąsiedzkiej wymianie. W dziedzinie wewnętrznej utrzymanie podstawowych reform społecznych i Rządu Ludowego jest również jednym z podstawowych warunków realizacji Planu, co sprawia, że wszyscy, **którzy na serio myślą o wprowadzeniu w Polsce zasad gospodarki planowej, nie mogą obojętnie odnosić się do aktualnych podstawowych zagadnień politycznych.**

O realizacji Planu zadecyduje również wybór właściwych form organizacyjnych. Ustrój gospodarczy Polski, który da się określić jako system gospodarki demokratycznej **mieszanej,** składającej się z trzech sektorów: państwowego, spółdzielczego i prywatnego, wymaga odpowiednich form organizacyjnych. W tej dziedzinie specjalnie na odcinku rolniczym jest wiele do zrobienia. Dotychczasowe np. systemy organizacyjne handlu zbożem, mięsem, działalność P.P.T. i M.R. — nie są zadawalające.

Kontrola mas ludowych wyrażająca się w udziale przy planowaniu i realizacji Planu organizacji zawodowych, społecznych, Rad Narodowych jest również jednym z warunków powodzenia i pełnego wykonania Planu.

Dotychczasowe wyniki w odbudowie kraju i organizacji państwa demokratycznego pozwalają mieć pewność, że masy ludowe najżywiej zainteresowane powodzeniem planu, wykażą dostateczną niezbędą inicjatywę w kierunku realizacji tego Planu i znajdą w sobie dość siły dla przełamania tych wszystkich trudności, jakie grozić mogą urzeczywistnieniu Planu Odbudowy Gospodarczej, tak jak znalazły dość inicjatywy i siły, aby wprowadzić i utrzymać podstawowe reformy społeczne.

G) Wyniki Planu.

Wyniki Planu wyrażone w konkretnych cyfrach, ilustrujących czy to wzrost produkcji rolnej, czy to wzrost dochodu na głowę ludności rolniczej, czy inne sprawy, mieć będą charakter nie tylko ilościowych osiągnięć. Plan Odbudowy Gospodarczej doprowadzi w swoich wynikach do głębokich zmian w całości rolnictwa w Polsce i w każdym gospodarstwie chłopskim z osobna. Wyrażają się one:

a) w zmianie struktury agrarnej, która utrwali w Polsce jednorodzinne gospodarstwo chłopskie, jako podstawowy typ gospodarstwa rolnego;

b) utrwali jego egzystencję w nowej funkcji gospodarczej:

1) produkcji wyspecjalizowanej na zbyt, w produkcji towarowej,
2) włączonej w odpowiedni związek branżowy, w odpowiednią gałąź przemysłu i określony stały rynek zbytu,
3) włączonej w społeczną wymianę towarową — spółdzielczość,
4) opartej o rozwój przemysłu rolnego i
5) funkcje ludowego Ministerstwa Rolnictwa w pełnym Planie Gospodarczym narodu.

c) demokratyzacji życia gospodarczego i społecznego wsi, polegającej na współrządzeniu, współdecydowaniu i współrealizowaniu;

d) w przestawieniu rolnictwa naszego na najbardziej właściwe i opłacalne dla Polski uprawy i hodowle oraz na krajowy przemysł rolny, co wyzwoli nas z roli kolonii, dostarczającej na rynki zagraniczne samych surowców i najmniej opłacalnych surowców.

e) w zmianie struktury zawodowej, wyrażającej się w odpływie ludności rolniczej do zajęć nierolniczych;

f) a tym samym w zwiększeniu dochodu społecznego ludności rolniczej i podniesieniu poziomu życia i dobrobytu ludności wiejskiej.

g) w powiększeniu kadr pracowników nierolniczych na wsi, co podniesie stan kultury materialnej i duchowej chłopów i wyrówna różnicę między miastem a wsią, tworząc jednolity technicznie, społecznie i kulturalnie naród polski na drodze jego nowej, wielkiej przyszłości.

Dlatego problemy organizacyjne rolnictwa i właściwe ich rozwiązanie muszą skupić na sobie uwagę wszystkich planistów w Polsce.

Stanisław Cieślak.

UNIWERSYTET LUDOWY W BRUSIE k/ ŁODZI

Dnia 3 marca 1947 rozpocznie pracę III — czteromiesięczny kurs w Brusie. Chcemy się porozumieć bliżej z Koleżankami i Kolegami, którzy na ten kurs przyjadą, gdyż wobec zmienionych warunków ogólnych musieliśmy też zmienić wymagania.

Pierwsze wymagania to żywe i szczere zainteresowanie się pracą teatralną. Brus na 3-im kursie będzie tę pracę o wiele poważniej prowadził. Na kursach poprzednich było zbyt wielu ludzi niezdecydowanych co do zainteresowań swoich i planów.

Drugie wymaganie to wiek nie niżej jak 18 lat i nie wyżej jak 30 lat. Wreszcie wymaganie trzecie dotyczy opłat. Chcemy wejść na drogę samodzielności w gospodarce internatu. Podnosimy więc opłatę miesięczną do 1.200 złotych.

Niechże to nie zniechęci ludzi zainteresowanych teatrem i zespołowym życiem Uniwersytetu Ludowego, przeciwnie niech ich pobudzi do żywego starania się o zorganizowanie stypendiów w Kołach, Związkach Oświatowych i Wojewódzkich.

Zgłoszenia należy nadsyłać do dnia 20 lutego pod adresem Uniwersytetu Ludowego w Brusie k/Łodzi — p-ta Konstantynów.

Należy koniecznie czekać na odpowiedź. Zależy nam bardzo na tym, aby ochoty na kurs w Brusie nabrali Koledzy i Koleżanki muzykalni i aby przywieźli z sobą instrumenty muzyczne.

Każdy kurs w Brusie bywa często w dobrych teatrach Łodzi, odwiedza zespoły robotnicze i odbywa wycieczki, z których ostatnia do Gaci Przeworskiej jest organizowana w celu przeżycia uroczystego zakończenia bruskiego kursu na Gackiej Górce. Brus należy do Związku byłych Wychowanków Szyc i Gaci.

Zofia Solarzowa.

Zofia Kościńska Ilustr. A. Strumiłło

CHAMKA *)

Fragmgnt powieści pt. „Wychowawcy"

MARCYSIA ni mioła juz potrzeby wystować i rozdziawiać ziaje. Pon Maślanka minął kaplickę, Chyżo podyrdała do kuchni ku mamie — ale potniem wyśli na trowę i dosiela nie wrócili jesce. Markotno — pogazdowała sie sama. Zaźrała do załężniocków: co tyz jest na obiod? Skrzywiła sie: zimioki i cyr jak zawdy!

— Nie bedę cyni jadła! — giebuzała łyskom zdelezowano: odstawiła zeleźnjocek koło kociołka.

— Skumundy byś no jadła — placusie piecone na blase — dogryzoł jij brat.

Wojtkowe godanie ją nie obchodziło. Niek sie ta wywadzi to mu przeńdzie. Zabrała sie do rynecki z zimiokami. Pyprała po nik jak ta niewydarzono świnka: nie pokłócone... rozfarowane... Wycyniła zimioki na psi trzópek lo Niewiema.

Z kociołka nałoła wody do cebrzyka i pomyła groty. Dwie gliniane miski położyła na półce. Drewniane łyski i dwa rogole zawiesiła na łyźniku.



Na gościńcu darły sie dzieciska. Krzyki nad „cyganem ftóry śpi a potem wstaje i kluski rozdaje" wygnały i Marcysię do hałajstry. Akuracik medytowała cy sie przyłącyć do „chowanego" cy do „przybijanego" cy do „erlicek perlicek" cy do chodarów co grały w pliski, kiedy bez okno wrzosnąło przeraźliwie:

— La la la!

Zosia sie obudziła i darła sie jak odmieniony bez mamony bachór.

— Juz sie ta bołda picy! — zatrzęsła sie dziopina setnie — Musę iść ku nij... — zobocono rusyła do chaupy.

Mama przyśli z trawom. Podoili krowę, przecedzili mlyko i płukali powąskę w skopcu.

— Dziojs, dziojs! — cudowali sie. — Coż cie tela casy nie było widać?

Marcysia sie przysiadła na skrzyni. Podwinęła pod się nogi, ręce wsturzyła pod brodę — i zacąło sie opowiadanie. Było o cem opowiadać, wej było! Cuda jakie widziała w kościele były nojciekawse:

— Piyknie tys to w tem kościele piyknie! Ludzi jak w odpust! Utorz barz piykny! Wiele kwiotków, światołek i śklącyk bawidołek! A wiele janiołów...! Jarchanioły, cherobiny, serafiny, jakoimy i jesce inkse... I zydy z brodami. Janioły i zydy! Nawet lucypera widziała i styry węze. Jak piyknie gro muzyka...! Jak piyknie ludzie śpiywają....! Ksiądz przekłado wielgą ksiązkę z jedne strony utorza na drugą. Ni moze widać znalyść miejsca lo takie wielgachne ksiązki... wszędy mu nieporęcnie... Ksiądz śpiywo barz piyknie — ale dziwacnie; po jakiemus to?

— Po świętemu — złożyli mama nabożnie ręce; zacęli septać paciyrz.

Marcysia poźrała ku matce i roześmiała sie:

— Ni mocie sie cego modlić bo ksiądz roz zaśpjywoł tak bryśko ze musiałam sie zawstydzić za niego.

— No jakze?

— Sikula sikuloron — odpedziała odwoźnie.

— To jest po łacinie! — chlasnął ją bez łeb Wojtek.

A, po łacinie... cudacnie!

Widziałaś małego chodoka koło księdza? Służył do mse. To mój kolega — przekwoloł sie brat.

— Widziała, widziała! W bioły kosulinie z koronkami był; dzwonił dzwoneckiem jaze w usak dzindziało: dziń dziń dziń! dziń dziń dziń! Jak ino zadzwonił klękali ludzie; wtedy kucała. Jaz ją jakość dziopka śturła z zadu. Zewstydziła się, klękła na rapty — i tak przeźgała juz do samego końca.

. . . .

Palce Marcysi pastwiące się nad „Ch" utknęły w miejscu. Piłka mieniąc się kolorowo biegnie szybko ku furcie. Wpadła w kurytarz. Odbija się czerwoną połacią o ciężką klasztorną bramę. W tym momencie wywiązała się walka między Mancią i Kundzią. W zapalczywości wyrywają sobie wzajemnie piłkę. Inne uczennice korzystają z okazji pociągając kilkakrotnie za dzwonek uwiązany na lince. I ucieszone z wyrządzonego furtjance psikusa ıciekają natychmiast pędem w podwórze. Pierwszoklasistki przerwały piskliwe koło i przyglądają się z zachwytem psotom starszych koleżanek. Nawet odtrącana dziewczynka o ulizanych z wiejska warkoczykach oderwała się od ściany i klaszcze w rączki. Przez twarz Marcysi przewinął się przebiegły uśmiech. — Pobiegnąć? W ogólnym zamieszaniu wtłoczy niepostrzeżenie intruza do koła. Pobiegnąć? Ale stoi nieruchomo przy oknie. Pobiegnąć?

Pobiegnąć?

. . . .

Z rozdziawionymi ustami przyglądała się psotom koleżanek. Inne uczennice pociągają za dzwonek uwiązany na lince. Doskakują jedna przez drugą. Dzwonią bez przerwy.

Po chwili furtianka wyglądnęła przez małe okratowane okienko. Dźwięcząc pękami kluczy, zaczęła otwierać powoli ciężką bramę.

Marcysia zawahała się na moment; nagle rzuca się także wraz z innymi towarzyszkami do otwartych, czarnych, tajemniczych wrót. Biegnąc z przestrachem przez długie klasztorne korytarze zatrzymała się pod wskazanymi jej drzwiami. Jak złodziej wchodzi po chwili cicho do klasy. Koszyczek trzyma przed sobą na piersiach.

Rozkrzyczane, obce dziewczynki obrzucają nieśmiałą, stojącą koło drzwi rówieśniczkę niechętnymi oczami.

— Patrzcie, patrzcie jeszcze jedna! — poszturkują się. — Ze wsić — chichają.

Bezczelniejsze podbiegają ku dziewczynce i zaglądają jej do koszyczka.

— Po wiele jajka gosposiu? — pytają ze śmiechem.

Wkrótce żarty niektórych udzielają się wszystkim.

— Po wiele jajka gosposiu? — trzęsie się cała klasa od śmiechu.

Na odgłos dzwonka weszła nauczycielka i przerwała ogólną wesołość rozkazem:

— Spokój!

Nauczycielka posadziła Marcysię w ostatniej jeszcze pustej ławce.

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

. . . .

W tej chwili ręce Marcysi zacisnęły się w pięści na szybie. Blada, wiejska dziewczynka w długiej i obszernej spódnicy widocznie rozbawiona psotami uczennic nabrała większej pewności siebie. Wysunęła się śmiało pod wirujące koło. Biega to tu, to tam. Chce przerwać obce i sztywne dłonie. Przerywa w każdym miejscu. Czepia się rozpaczliwie koła. Niestety nadaremno. Maleńkie ręce splatają się mocno. Ściskają się z uporem. Odtrącają intruza brutalnymi słowami: „Ty nie masz pary! Ty jesteś ze wsi! Śmierdzi od ciebie! Idź stąd!" Wypędzają ją jak parszywe szczenię. Jak szczenię. Zwinięte w kułak palce Marcysi wpiły się paznokciami w linię życia biegnącą środkiem śródręcza. Wpiły się aż do bólu. Pobiegnąć? Ale stoi jak przykuta przy oknie. Raptem rozluźniła dłonie i zaczęła z zapałem malować artystyczne zakrętasy inicjałów. Pobiegnąć?

Pobiegnąć?

. . . .

Wracała ze szkoły przygarbiona i smutna. A dal dziedzińca szkolnego zasnuwają kasztany. W świetle jesiennego południa liście żółkniejących drzew zielenią się na jasno. Wypogodzone niebo bieli szare kamienie nędznych małomiasteczkowych trotuarów. Ale nawet charakter zalanego słońcem krajobrazu nie wpłynął dodatnio na stan jej przybitej, młodziutkiej duszy. Krajobraz był jej obcy. Bo całą uwagę skupiła na trzymających się za ręce koleżankach, które śpiewały piosenkę wyuczoną w ochronce:

— Jaskółeczka pod bramą

Wciąż uwija się w kółko.

W końcowej strofie piosenki „ja urosnę tak duża" Mancia z Kundzią podskakują w górę i pokazują rękami wielkość marzeń dorastania.

Marcysia czasami biegnie szybciej. Podbiega bliżej. Nadeptuje dziewczynkom na pięty. Chciwie obserwuje połączone dłonie. Zrównała się z nimi.

— Jaskółeczka pod bramom — powtarza cichutko za koleżankami słowa piosenki.

Niezadowolony orszak przystanął. Odwraca się frontem ku dziewczynce. Prowodyrka i największa krzykaczka Mancia odsunęła intruza brutalnie:

— Kacialonka przylepiaczka!

— Nie potrzebujemy ogonka! — sekundują dzielnie przewodniczce towarzyszki.

Odtrącona zwolniła kroku. Zostaje w tyle osowiała:

— Kciałaby sie trzymać z dziopkami za ręce i śpiywać o jaskółecce... Niesła by jom za to torby zeby jom lekcy było. Chojco by jom dała... Placka?... Placka by nie wziąły — mają bioły chlyb z masłem! Jutro przyniesie bobu pieconego. Upiece na żółto i rózowo. Nie przypoli! Manci i Kondzi do nojwiecyj... całą gosz! Wtencos podą ś niom... Bedzie ik trzymała za ręce i śpiywała o jaskółecce! Bedzie!

...bedzie bedzie bedzie — posuwają się wprawnie wskazujące palce siedmioklasistki po szybie — bedzie bedzie bedzie — —

. . . .

Wtem piłka uderzyła o futrynę okna. W ślad za piłką podbiegła pod okno Stasia Mańkówna. Dojrzawszy sterczącą samotnie za kratkami Marcysię wywiesiła na pół metra język. I roześmiana znikła za węgłem budynku. A wiejska dziewczynka w barchanowej bluzce po siostrze, zniechęcona daremnym wysiłkiem wkręcania się do koła stoi znów przykulona pod ścianą z wciśniętymi pod brodę piąstkami. Wokoło serca Marcysi oplata się jakaś dziwna obrzydła żałość. Ale patrzy za Stasią Mańkówną, która znikła za węgłem budynku. Pobiegnąć? Pobiegnąć?

. . . .

Przemierzała kwadratowy rynek zapełniony żydowskimi sklepami. Za narożną, dużą apteką której okno wystawowe lśniło ukazując posąg półnagiej panny, widnokrąg rozszerza się. Szeroki gościniec! Daleki gościniec zasypany śniegiem, pokryty półkolami zasp! Półkola powiększają się. Śnieg sypie i sypie... Osiada błyskiem gwiazdek na bryćkim kabocie po Jontku Piyrzchaloku. Kryje plamy i połatane miejsca. Co?? Nasypał do koszyczka! Marcysia wchodzi pośpiesznie do pobliskiej bramy. Zamazane? Czerwonymi jak raki rękami wyjmuje z kobiałki tabliczkę. Stoi długo nad tabliczką. Zamazane!

Zza węgła domku wybiegają koleżanki. Tabliczki łomotają w twardych skórzanych torbach. Spojrzały w bramę. Zwalniają kroku. Marcysia nie może wracać z powrotem do domu. Nie schowała się głębiej w bramę. Było za późno. Widziały ją koleżanki!

Wczoraj był święty Mikołaj. Marcysia nic nie dostała. Jak i przedtem. Jak zawsze. Koleżanki dostały pod poduszkę różności. Bo nie są biednymi dziećmi. Niedobry ten święty Mikołaj. Święty?.. Na pewno nie. Tylko udaje świętego. Marcysia wychodzi z bramy. Śpieszy za dziewczynkami ku klasztornej furcie. Biegnie. Może zdąży. A na wystawie u Romka są grube zeszyty. Bruliony! Dopiero w drodze ze szkoły, pooglądа. Na drugi rok będzie miała brulion! Sznurowadła trzewików wysuwają się zza cholewek i bielą się źle uczernionymi kluczkami. Marcysia przykuca.



Wciąga sznurki za cholewki. Ale zmarznięte ręce odmawiają jej posłuszeństwa. Wstydzi się sznurowadeł, jednak prostuje plecy — i biegnie. Musi zdążyć. Wbiega na szkolne podwórze. Od studni z pompą słychać już krzyki. Jeszcze czas! Jeszcze daleko do dzwonka! Zdąży!

Koleżanki wyglądają z okratowanych okien klasy. Wszystkie się zgrupowały przy kratach. Zachwycają się miękkimi poduchami zasp. Marcysia zmarzniętymi rękami stawia litery na mokrej jeszcze tabliczce. Może zdąży? Kaligrafuje nierówno:

— cza—pla cza—pla cza—pla
czo—to czo—to czo—to
cze—ladź cze—ladź cze—ladź

. . . .

Znudzona krajobrazem Stasia Mańkówna odwróciła się od okna. Spojrzała pod piec



ku oślej ławie — i natychmiast odkryła przestępczynię. Podniecona odkryciem postąpiła parę kroków w przód. Wyciąga przed siebie rękę. I porusza rytmicznie, do taktu paluszkiem:

— Ej ej po—wiem pa—ni! po—wiem pa—ni!

Jak na komendę wszystkie uczennice odwracają się także od okien. Zdumione spojrzenia posyłają pod piec. I jak małpki zaczynają dyrygować palcami chóralnie:

— Ej ej powiem pa—ni po—wiem pa—ni po—wiem pa—ni!

. . . .

Koleżanka z poprzedniej ławki zajęła z zapałem swoje miejsce. Odwraca się ku Marcysi; pośliniła dwa palce i maże po tabliczce.

Głaska po cza—pli. Uderza w czo—ło. Pluje na cze—ladź.

Do klasy weszła nauczycielka. Rozgląda się gniewnie po uczennicach:

— Co się tu dzieje? Co to za krzyki?

Z trzydziestu czterech nierozwiniętych klatek piersiowych wyrwał się pisk:

— Kaciała znowu dzisiaj nie ma zadania!

Niechętne spojrzenie nauczycielki zatrzymuje się na Marcysi:

— Proszę o spokój! Nie skarżyć! Donosicielstwo jest brzydką wadą!

Zmieszane skarżypyty spuszczają głowy. Marcysia zakłada ręce za plecy; patrzyła w panią jak w wielki ołtarz.

Po modlitwie i przeczytaniu katalogu padł od katedry rozkaz:

— Wyjąć tabliczki!

Wolnym krokiem przechadza się pani między uczennicami. Przed każdą ławką przystaje. Zatrzymuje na tabliczkach wzrok. Dokładnie lustruje zadania.

Marcysia rzuca ukradkowe spojrzenia na posuwającą się ku niej masywną o ostrych rysach i olbrzymim koku włosów postać nauczycielki. Trzęsie się cała ze strachu. Za każdym stuknięciem kroków wtula głębiej głowę w ramiona:

— Jest już w trzecij... w cwortyj... w piątyj...

Wreszcie stanął nad dziewczynką strach. I wyciąga miękkie ręce ku tabliczce. Bada pręgi na czapli, na czole i na czeladzi.

— Kaciała znowu dzisiaj nie ma zadania?... Pewnie śnieg zasypał? — uśmiecha się z niedowierzaniem.

Zrażona drwiącym uśmiechem Marcysia poczuła całą swoją bezsilność wobec prawdy. Tępy wzrok utkwiła w rowkach porysowanej ławki, milczała.

— Czemu nie odpowiadasz?! — wydatny nos nauczycielki pąsowieje z oburzenia. — Jesteś upartym, nieznośnym bębnem! Dlaczego nie masz zadania? Odpowiadaj!

Kaciała milczy.

Miękkie ręce nauczycielki kładą tabliczkę na ławce. Słodziutkim głosem zwraca się do wypieszczonej, pięknie ubranej dziewczynki: —

— Wandeczko podaj trzcinkę. — Następnie zwraca się do Marcysi:

— Za upór dostaniesz w łapę!

Trzas! trzas! trzas! trzas! — cztery razy. Cztery pręgi na dłoni.

Szybsze niż poprzednio kroki oddalają się ku katedrze z zadowoleniem.

Marcysia opadła na ławkę. I zakryła gorejącymi rękami zimną twarz. Nie płakała.

---

*) Patrz I część „Wieś" Nr. 2 (81).

Drżąc jakąś niezrozum¡ałą krzywdą dotykała suchych oczu; nabrzmiałymi pręgami dłoni grzała sopel lodowatego noska!

Podczas przerwy rozigrane koleżanki bawią się w węża; niektóre zajadają biały chleb z masłem, bułki i ciastka. Marcys¡a została w klasie; czując dziwną obrzydłą żałość siedzi wstydliwie w ławce. Wstydzi się nawet swojego jałowego, czarnego placka. A tak chciała przed tem przekupić n¡m uczucia dziewczynek. Po malutkim kawałeczku skubie placek pod ławką. Niespokojnie patrzy w drzwi:

— Zeby wtoro, dziopka nie dożrała placka... zeby nikto placka nie widz¡oł... Śmioły by sie ś niego jak wcora i przedwcora. Jak zawdy. Brzydziły by sie jyj placka!

W uchylonych drzwiach ukazała się głowa nauczycielki:

— Kociała na pauzę! Do węża! Nawet do zabawy nie jesteś skora! C¡apa!

Rytmiczny tupot nóg wystukiwał marsza.

Kociała wyszła posłusznie z klasy. Ale niema ochoty na węża. Musi się czepiać węża — bo chce dogodzić pani. Nie chce już być upartym, nieznośnym bębnem. Przerywa węża z musu. Ale nie czepia się już rozpaczliwie obcych i zimnych rąk koleżanek—jak przedtem. Nie biega to tu, to tam. Czepia się z musu. Żadna z dziewczynek nie rozluźniła ręki. I dobrze. Chodzą w takt śp¡ewu złączone mocno pańskim uściskiem. Jak dobrze! Marcysia stanęła pod ścianą. I wstydzi się swojej chamskości. Ma dopiero siedem lat. I smuci się swoją starością. Rozważa na chłodno. Krytycznie. I po słuszności:

— Wstydzą sie mnie, bo chodzę w chusteczce, w dług¡ej spodnicy i w okidanym kabocie po Jontku Piyrzchaloku. Podorzkają mnom bo mama chodzą w chustce. Dokucają mi bo mama byli na wywiadówce w chustce. Hej — zeby to mamie kupić piykny kapelus! Płójtkie trzewiki! Kapelus słomiany. Taki jak na wystawie w składnicy. Bez sydła!

. . . .

Wykonując artystyczne wywijasy na szybie, wykonując je obiema rękami równocześnie, całe ciało Marcysi darły zagasłe wspomnienia i wsteczną drogą wlokły się przed nią w bezradnym i lękliwym „Ch". Przerwała. Przez chw¡lę wpatrywała się w śródręcza. Szukała śladów po razach. Lecz poduszkowate dłonie były tylko lekko zarożowione. Przez drgające rozczuleniem



pełne usta dziewczynki przeszedł promień uśmiechu. Bo spojrzała w podwórze. Nad opuszczoną bladą dziewczynką pochyla się ksiądz dyrektor. Gładzi ulizane warkoczyki ściśn¡ęte mocno skrawkiem. Ujmuje wtulone pod brodę piąstki. Robi kółeczko. Takie maleńkie kółko tylko we dwójkę. Wielkie buciska dziewczynki poruszają się w tańcu. Fruwają warkoczyki. Ponoszona pow¡etrzem długa spódnica wiruje kopulasto. Dziewczynka śmieje się wraz z księdzem radośnie. Pyszałkowate koleżanki patrzą na wirującą parę z zazdrością. Podbiegają do intruza. Chcą ją łapać za ręce. Przez intruza chcą się wkraść w łaski księdza. Marcys¡a chowa się za futrynę okna. Pobiegnąć? Ale zerka ukradkiem w kraty. Pobiegnąć?

Pobiegnąć?

. . . .

Z założonymi za plecy rękami patrzyła się w katedrę. Bo czarna sutanna księdza zlewa się z czernią tablicy. Tylko na sutannie nie ma czerwonych, poziomo us¡anych pasków. Ale miga czerwony ołóweczek przytwierdzony do maleńkiego notesika z boku. Notesik jest taki maleńki, że mógłby być elementarzem dużej lalki Polki z leśniarki, którą nazwały cesarzową. A ołóweczek tak¡ cieniutki jak czerwone paski tablicy gdy się patrzy na nie z daleka. Z ostatniej ławy, z pod pieca. Ksiądz katecheta przewraca powoli kartkę za kartką mały notesik. Przytym wydyma policzki po pańsku.

— Kaciała! — wyrwał Marysię donośnym głosem księdza proboszcza rzucającego gromy z ambony podczas sumy.

Zn¡enacka wyrwana prawie nieprzytomnie podnosi się z ławki. Przyciska dłoń do dłoni. Splotła prawidłowo ręce do odpowiedzi.

— Zmów mi — dziecko ładnie, bez jąkania „Wierzę w Boga Ojca" — ks¡ądz ścisza głos prawie do szeptu i przechyla głowę w bok, ruchem spowiednika w konfesjonale.

Oczy uczennicy nabierają większej pewności siebie. Patrzy na katechetę jak na nieszkodliwego ks¡ędza podczas cichej mszy przy ołtarzu. Powoli zaczęła:

— Wierzę w Boga Łojca... pod Pąckiem Piułatem...

Na dobrze odżywionej, rumianej twarzy księdza ukazał się na moment uśmiech. I znikł w powadze.

— Pod jakim pąckiem? — baw¡ się czerwonym ołóweczkiem. — Jak sobie to Kociała wyobraża? Odpowiadać grzecznie i — prawdę!

— Jadłam u Polcie na leśniarce. Dostałam jaze osiem.

— To dużo. Smaczne były — prawda?

— Barz!

Katecheta kładzie ołóweczek na stole. Dla dodania ważności rzucanego w c¡emny umysł uczennicy światła wstał od katedry.

— Ale Poncki w pacierzu nie jest pączkiem na talerzu! Piłat Poncki jest takim samym nazwiskiem jak Kaciała, Golonka, czy Gajda. Rozum¡esz?

— Rozumię.

— Piłat Poncki jest katem, który ukrzyżował Pana Jezusa. Zrozumiano?! — podawał pokarm całej owczarni.

— Zrozumiano! — zabeczały owieczki.

Jak błyskawica opadł z piedestału katedry. Podnosi sutannę w górę. Usiadł na blacie trzeciej ławk¡. Koło Wandy Gęskiej. Równa się z owieczkami.

I wtedy — o Zgrozo! — i Prawdo!

Na widok księżych spodni Marcysia zamarła w bezruchu. Jak tata! Jak wszyćkie chłopy. Dotychczas wyobrażała sobie że ksiądz ma długą, czarną sutannę i stopy. Jest ¡nnym człowiekiem; duchownym, świętym; przy ołtarzu jest Bogiem. Po takim odkryciu znika nimb niezwykłości. Cudu. Jak tata... jak wszyćkie chłopy... Ksiądz z wyobraźni Marcysi przechodzi do kategorii zwykłych, przec¡ętnych ludzi. Jak tata. Jak wszyćkie chłopy.

. . . .

Marcysia włożyła znowu głowę w kraty. Przylgnęła klatką piersiową do okna i raz po razu parska śmiechem. Adorowana przez księdza dyrektora sztubaczka biega po podwórzu za piłką. Bawi s¡ę z seminarzystkami. Koleżanki chcą ją wciągnąć do koła. Nawołują. Błagają. Dziewczynka podnosi dumnie główkę. Traktuje koleżanki z wysoka i z daleka. Odsuwa od siebie szorstko zimne i mocne z koła ręce. Marcysia parska śm¡echem. Pobiegnąć? Pogładziłaby małą po główce. Ale stoji przy oknie cała roześmiana. Pobiegnąć?

Pobiegnąć?

C. d. n.

Marianna Kościńska

Kredytowanie spółdzielczości

Działalność i perspektywy B. G. S.

Zamieszczony we „Wsi" artykuł Kokoszkiewicza omawia strukturę organizacyjną spółdzielczości wiejskiej. Aby zagadnienie to rozszerzyć drukujemy poniżej wywiad z członkiem Zarządu i sekretarzem generalnym Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, dyr. L. Pawłowskim. BGS jest jedyną w Polsce centralą finansową spółdzielczości, która powstała z połączenia Banku „Społem" z Centralną Kasą Spółek Rolniczych w lipcu ubiegłego roku i ma na celu finansowanie spółdzielni wszystkich typów.

Jak się przedstawia zapotrzebowanie na kredyt ze strony spółdzielni i w jakim stopniu BGS te potrzeby pokrywa?

Powojenny okres działalności spółdzielczość polska rozpoczęła niemal bez własnych środków obrotowych. W wyniku reformy walutowej rezerwy pieniężne zostały zamrożone, a posiadane nikłe zapasy towarów, uległy w znacznej mierze zniszczeniu na skutek działań wojennych. Kredyt bankowy stał się w tym stanie rzeczy punktem wyjścia dla działalności spółdzielni w odrodzonej Polsce. Obecnie stosunki te uległy znacznej poprawie, ale i dziś kapitały własne spółdzielni nie są wystarczające. Szczególnie wydatnej pomocy kredytowej potrzebuje Związek Gospodarczy Spółdzielni „Społem", który z własnej inicjatywy i na zlecenie rządu przeprowadza, jako hurtownia, wielkie operacje handlowe. Zapotrzebowanie na kredyt było i jest pokrywane w 100 proc. w ramach obowiązujących wytycznych. W tej chwili z kredytu w BGS korzysta ponad 5500 instytucji spółdzielczych, a kwota wykorzystanych przez nie kredytów sięga prawie 12 miliardów złotych.

Jakimi przesłankami kieruje się BGS przy udzielaniu kredytu?

W Polsce Ludowej banki służą wyłącznie rozbudowie życia gospodarczego, sprawie podnoszenia ogólnego dobrobytu. Przy rozważaniu więc podań o kredyt Bank bada przede wszystkim celowość kredytu z punktu widzenia ogólnopaństwowego planu gospodarczego i z punktu widzenia zamierzeń danej spółdzielni, bada następnie stan organizacyjny i majątkowy spółdzielni oraz zdolność kredytową w stosunku do posiadanych przez nią funduszów własnych. To ostatnie kryterium jest stosowane bardziej liberalnie jedynie w stosunku do spółdzielni nowo założonych oraz do spółdzielni na Ziemiach Odzyskanych.

Nie biorą nam zapewne za złe nasi kredytobiorcy, że domagamy się od nich wzorowej gospodarki i mniej liczenia na kredyt, a więcej na własne środki zbierane od członków. Tą drogą bowiem najszybciej zapewnimy należyty zasięg i mocne podstawy dla gospodarki spółdzielczej.

Jak przedstawia się udział spółdzielni Związku Samopomocy Chłopskiej w kredytach BGS?

Udział ten nie jest na razie duży. Przed spółdzielniami ZSCh. stoją rozległe i odpowiedzialne zadania, ale spółdzielnie te nie rozporządzają jeszcze dostateczną ilością środków finansowych i wskutek tego odpowiednia pomoc ze strony BGS jest konieczna. Pomoc ta musi być jednak udzielana także z dużą rozwagą i w miarę tego, jak poszczególne spółdzielnie wypracowywać będą racjonalny plan gospodarczej działalności i w miarę, jak w tych spółdzielniach powstawać będą organizacyjne warunki, gwarantujące realizację nakreślonego sobie planu gospodarczego. Dotąd z kredytów w BGS korzysta 744 spółdzielni ZSCh z sumą przyznanego kredytu 223 miliony złotych. Ostatnio rozpoczęła swoją działalność i korzysta z kredytu u nas Spółdzielnia Budownictwa Wiejskiego ZSCh., mająca za zadanie popieranie odbudowy i przebudowy wsi przez dostarczanie na wieś materiałów budowlanych oraz pomocy instrukcyjnej.

Jak się przedstawia działalność BGS na Ziemiach Odzyskanych?

Bank zwrócił szczególną uwagę na szybką rozbudowę spółdzielczości na tych ziemiach. Niemal w ślad za walczącą armią przybyli na Ziemie Odzyskane pełnomocnicy Banku i uruchomili na wyzwalanych terenach oddziały i agentury. Placówki te pomyślane były jako punkty finansowego oparcia zarówno dla organizowanych przez Związek Rewizyjny spółdzielni, dla zakładanych na tych terenach oddziałów Związku „Społem", jak i dla innych niespółdzielczych placówek gospodarczych. W tej chwili na Ziemiach Odzyskanych działa 49 placówek naszego Banku, zatrudniających 329 osób. Placówki te są na razie przeważnie deficytowe, spełniają jednak poważną misję organizacyjną i gospodarczą. W dotychczasowym okresie swej działalności zebrały one wkładów ponad 455 milionów złotych i udzieliły 1076 instytucjom spółdzielczym ponad 712 milionów zł kredytu. Prowadzą one również żywą działalność przekazowo - rozrachunkową, organizują obrót bezgotówkowy. Personel placówek BGS współdziała również w zakładaniu nowych spółdzielni i prowadzi działalność instrukcyjną w zakresie gospodarki pieniężnej. W ten sposób BGS dorzucił swoją cegiełkę do budowy polskiej bankowości na ziemiach, które były do niedawna pokryte siecią banków niemieckich.

A jak przedstawia się całokształt działalności GBS z perspektywy ostatnich dwu lat?

Dwa lata, to zbyt mało, by wytworzyć perspektywę. Poza tym jako BGS pracujemy dopiero od lipca ub. r. Okres niepodległości rozpoczęliśmy finansowo od zera. Jedyny nasz aktyw uratowany z pożogi wojennej, to ideowy zespół współpracowników oraz wieloletnie doświadczenie obu naszych połączonych obecnie instytucji bankowych. Mimo początkowych trudności, w ciągu niespełna dwuletniej działalności zgrupowaliśmy ponad 21 tysięcy wkładców, w tym około 15.000 instytucji: spółdzielczych, związków zawodowych i innych. Suma zebranych wkładów przekroczyła 4 miliardy zł. mimo odpływu ostatnio około miliarda zł wkładów instytucji państwowych. Ze względu na dość gęstą sieć placówek własnych (199) BGS rozwija żywą działalność przekazową. Tak np. w listopadzie placówki Banku przyjęły ponad 37 tysięcy przekazów na ogólną sumę 12.5 miliarda złotych. Innych zleceń w tym miesiącu przyjęto około 4000 na łączną kwotę ponad 800 milionów. O akcji kredytowej mówiliśmy poprzednio. Staramy się pracować na wszystkich powierzonych nam odcinkach oszczędnie i wydajnie.

A co sądzi Pan o obawach wypowiadanych tu i ówdzie w swoim czasie w związku z dokonywanym łączeniem Banku Społem i Centralnej Kasy?

Niektórzy, nieliczni zresztą, działacze wiejscy obawiali się, że BGS zaniedba kredytowania spółdzielczości wiejskiej i da się zasugerować sympatiom i metodom pracy Banku „Społem". Na podstawie doświadczenia z ubiegłego półrocza można z całym spokojem stwierdzić, że spółdzielczość wiejska znajduje w BGS opiekę nie gorszą, jeśli nie lepszą, niż w dawnej Centralnej Kasie. Liczba najlepiej o tym świadczy. Kredyt w Centralnej Kasie dla spółdzielni rolniczo - handlowych wynosił w dniu 30 czerwca ub. r. zł 311 milionów, w BGS na koniec listopada ub. r. zł. 498 milionów (wzrost 57 proc.), kredyt dla spółdzielni oszczędnościowo - pożyczkowych wynosił zł 137 milionów, obecnie wzrósł do zł 232 mil. (czyli o 70 proc.), podobnie kredyt dla spółdzielni mleczarskich wzrósł o 80 proc. Korzystamy w całej pełni z doświadczeń Centralnej Kasy na odcinku wiejskim i z doświadczeń Banku „Społem" na odcinku spółdzielczości miejskiej. Dlatego zapewne nie słyszeliśmy narzekań na niedość życzliwe traktowanie którejkolwiek grupy spółdzielni, oczekujących pomocy ze strony Banku.

Jakie są zamierzenia BGS na rok 1947?

Jest rzeczą niemożliwą w ramach krótkiej rozmowy przedstawić całokształt naszych zamierzeń. Wymienię najważniejsze. Weźmiemy jak najczynniejszy udział w szczegółowym rozpracowaniu i realizacji 3-go planu rozbudowy spółdzielczości. W tym zakresie jest bardzo wiele do zrobienia na naszym bankowym odcinku pracy. Kontynuować będziemy studia nad racjonalizacją pracy Banku, by uzyskać na tej drodze obniżenie kosztów i stworzyć warunki do obniżenia stopy procentowej od kredytów. Będziemy prowadzić forsowną akcję propagandową na rzecz obrotu czekowo-rozrachunkowego, usprawniać i unowocześniać obrót pieniężny spółdzielni, związków zawodowych i politycznych, będziemy przede wszystkim organizować zbiórkę wolnych środków pieniężnych, znajdujących się w obiegu i powiększać w ten sposób własną bazę kredytową Banku.

Ten ostatni punkt programu ma szczególnie doniosłe znaczenie, gdyż jego realizacja daje możność rozszerzenia działalności kredytowej bez powiększenia emisji pieniądza.

Józef Bińczak

J E S I O N

Pagórzem ogromny, brodaty zielenią,
tuż u stóp Łysej ligał Waligóra,
ligał ciężkim snem zbity
i śnił o swej pięknej dziwożonie.

Aż przypadły chłopy - małoludy do leśnej roboty.
Ostro, ozgłośnie z ich rąk łyskał ząb złej siekiery
i jękliwie, zawodliwie podśpiewywała
żmijowata piła.

Nieborak Waligóra — spał głaźnie, twardo,
nie czuł ciosów, ni piłowań.
Chłopom — niepozornym małoludom
ten śpas udał się jak nigdy — —

Oj spał słodko, spał twardo
i oto: garbate konięta
ciągną na zorzy stos ofiarny
jego rzecz najdroższą:
różdżkę czarodziejską,
która po pochyliznach i zakrętach
w takt kół kołaczeń
tak potwornie wydłuża się i kurczy — —

Idąc obok — cmokają z zadowolenia chłopy,
o czymś monotonnie gadają, gadają koła,
błyszczy ząb zjadliwie wczepionej siekiery,
skrzydłami szpaków pierzcha błoto spod kopyt.

W deszczu pasmach modrooka panna woła,
jęczy ptakiem strwożonym:
o, biedny, biedny Waligóro,
już nie dla cię łono krasnej dziwożony — —

Józef Pogan

Nieco o „moralności literackiej"

Jakżeż się zdumiałem przeczytaniem „Kiepskiej wiejskości" Piotra Greniuka, zamieszczonej w n-rze świątecznym „Wsi". Komedii Jerzego Nowosielskiego „Szczęście Hani" nie znam i tylko na podstawie recenzji Greniuka pragnę jeszcze dorzucić parę słów. I powiem otwarcie, że tak Jerzy Nowosielski, jako też i „Wiciarze" grający tę komedię — zasługują na najostrzejsze potępienie. Być może, że komedia została napisana i odegrana dla rozbawienia gości, ale trzeba było z góry to „Szczęście Hani" przeznaczyć dla zakładu obłąkanych. Bo nawet najzwyklejszy prostaczek, choć się śmieje z takiej komedii (bo cóż ma robić na widok takiego głupstwa), oburza się wewnętrznie, wszak wie, że to przedstawienie jest tylko dla urągowiska wsi. Bo czyż nie urągowiskiem jest przedstawiać chłopów bijących bez przyczyny przybyłego do nich mieszczucha?! Twierdzę, że nie ma w Polsce takiego chłopa, który by w oczy nie uszanował „pana" nawet wtedy, gdy go nienawidzi. Wieśniacy są aż nazbyt uprzejmi w stosunku do inteligencji. W tym wypadku Jerzy Nowosielski grubo przesadził. Zapewne słyszał coś w życiu o „chamach wiejskich" i postarał się ich odzwierciedlić. Chyba, że Nowosielski jest chłopem? Jeśli tak — to gratuluję mu tak paskudnego popisu!

Dalsza sprawa jeszcze paskudniejsza: Gdzież tu u licha, nie tylko autor, ale bądź ktokolwiek inny słyszał by 17-letnia dziewczyna opowiadała sąsiadowi o tym, że „jej ojciec leżał na podłodze pijany bez kalesonów". Tego nawet najgłupsza dziewczyna nie mówi, choćby tylko ze wstydu, nie mówiąc już o ośmieszeniu siebie i rodziny. Chyba, żeby była wariatką. Ale chyba wariatów nie przedstawia się na scenie.

Oj, źle, bardzo źle, panie Nowosielski i Wy, Młodzi „Wiciarze". Nie bawcie się brzydko!

Przy okazji potrącę mimochodem o list Józefa Bieńka pt. „do Józefa Pogana", zamieszczony w nr 34—35 „Wsi" 1946 r. gdyż z listu tego wynika, że ja może nie jestem „moralnym pisarzem". Nie odpowiadałam Bieńkowi, bo i nie było co odpowiadać. Przyznałem rację jego żądaniom pod adresem pisarzy, gdyż pojmuję w pełni jego szlachetne intencje. Tylko, że Bieniek nie chce czy też nie może mnie zrozumieć. On pragnąłby jak najmniej widzieć w literaturze chłopskiej owych „Walków Buraków" itp. scen, wszak to ujemna strona wiejskiego życia. Ja zaś pragnąłbym nie tylko w literaturze, ale też i w życiu nie widzieć tych „Walków Buraków" i dlatego tworzę prawdziwe obrazki z tych scen, które by najjaśniej odzwierciadlały wiejskie życie tak z dodatniej jako też i z ujemnej strony. Prawda, że więcej opisuję zła, niż dobra, wszak wychodzę z założenia, iż człowiek więcej powinien czynić dobrze niż źle. Uważam, że opisując zło, przyczynię się tym do jego wyeliminowania.

A choćby nawet to opisywanie zła nie przyniosło z goła żadnego pożytku społeczeństwu, nie dbam o to, wszak pragnę być obiektywnym i sumiennym.

Bieniek wylicza całą litanię o „chlaniu bimbru" przez chłopów, o „wspólnych przespankach", wspomina o ciasnym oknie dla artysty przez... (nie chcę tego powtarzać) i tym podobne szelmostwa.

Do licha, przecież w mych utworach tak samo jak i rzeczywistości wieś nie jest wcale „zachlana". Chłopi nie piją, bo nie mają na to pieniędzy. Czasem jakiś chłopak wypije sobie kwaterkę, no i wtedy robi awanturę.

Na ten temat było by dużo do gadania, lecz po co to, gdyż i Bieniek i ja i wszyscy chłopscy pisarze jednego pragniemy: Podniesienia moralnego i materialnego stanu wiejskiego ludu.

Rozważmy choć pobieżnie sens moralny któregoś z moich utworów. Choćby „znienawidzony" przez Bieńka obraz w noweli „Walek Burak". Bohaterami jest dwoje ludzi: bogaty chłop, nieco „okrzesany", gardzący biedakami, a kumający się z księdzem i organistą i jego służącą. Natura ludzka robi tu swoje: młody chłop napastuje służącą, gdyż jego żona choruje. To może nie najgorsze zło, gdyż większość ludzi nie może pohamować swej żądzy. Złem jest natomiast okłamywanie służącej przyszłym ożenkiem, a już zbrodnią jest uwiedzenie jej, następnie odstępowanie innemu wdowcowi, aż nareszcie śmiertelne jej pobicie i wyrzucenie z mieszkania na lód. Tak podłych ludzi niewielu znajduje się po wsiach, bądź co bądź nigdzie ich nie brakuje. Są to przeważnie materialiści, ludzie bez serca i sumienia, a przeważnie bogacze i klerykały, jak na przykład ów „Walek Burak".

Czy w pojęciu Bieńka taka dziewczyna jest zepsuta?... Bo dla mnie, jest to ofiara w rękach bogacza, która płacząc nad sobą, ulega, by ją nie wyrzucić z pracy. A takimi ofiarami byliśmy, my, chłopi przez wieki pod jarzmem gnębicieli.

Przypuszczam, że po tych paru słowach, Bieniek pojmie moją intencję. Bo ja tak samo jak on — pragnę dobra społecznego, I o to dobro jak mogę, tak walczę.

Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś *)

Józef Marciniak (Łódź)

Jako gorący sympatyk Waszego pisma chcę i ja wziąć udział w konkursie „Wsi" na temat „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś".

Chciałbym z Wami podzielić się mymi uwagami, które przeżywałem za czasów sanacji, a później cały czas okupacji. Jako robotnikowi (co sądzę nie przeszkadza mi wziąć udziału w konkursie) o wykształceniu elementarnym trudno mi przelać myśli kłębiące się w głowie na papier. Pierwszą refleksją, jaką miałem po przeczytaniu warunków Waszego konkursu, było uczucie olbrzymiej radości. Nareszcie! Więc są ludzie, którzy chcą myśli pieszczone tyle lat przeze mnie wcielać w życie? Tak, Wasz konkurs jest plagiatem mych najserdeczniejszych myśli i za ten plagiat i za wcielanie w czyn mych myśli i pragnień cześć Wam i moja dozgonna przyjaźń (na której może Wam nie zależy, lecz to głupstwo). Chodzi o ten kontakt między autorem a czytelnikiem, co autorowi da możność poznawania psychiki i wymogów czytelników, a czytelnikom da to wewnętrzne zadowolenie, że są jak gdyby współtwórcami prac autora.

Wybaczcie, że do samego tytułu konkursu mam pewne zastrzeżenia. Otóż moim marzeniem było, jak wpłynąć na naszą literaturę, która ma decydujący wpływ na kształtowanie się charakteru Narodu, a przez to na jego szczęśliwe lub nieszczęśliwe losy. Otóż czytając przekłady z literatury obcej, a szczególnie angielskiej zauważyłem, że dobrzy autorzy nie sugerują jawnie swych sympatii, czy antypatii do danej osoby czy danego ustroju, lecz przez umiejętne operowanie kontrastami pojedyńczych osób czy fragmentów prowadzą czytelnika do zamierzonego celu, lecz to już jest sztuką pisarską, znawstwo psychiki swego społeczeństwa, do poznania których każdy z piszących naszych literatów powinien dążyć.

Wychodząc z tego założenia, mam zastrzeżenie co do tytułu konkursu, nie „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?", ale „Jakiej powieści chce Naród w Polsce Demokratycznej?" Lecz z drugiej strony wieś czy miasto, robotnika, chłopa, czy inteligenta pracującego ożywiać powinna jedna i ta sama myśl, myśl pracy dla dobra Polski Ludowej i ugruntowania Demokracji, tym samym przyczynić się do zrealizowania Idei Prawdy i Sprawiedliwości Społecznej. I to co będzie dobre dla wsi, tym samym będzie dobre dla całego Narodu. Jeśli chodzi o powieść dla wsi, to moim zdaniem byłaby najodpowiedniejsza powieść realistyczna z życia wsi nie wyłączając innego środowiska, robotniczego czy inteligenckiego, a nawet odwrotnie łącząc je np. członkowie rodziny żyjącej na wsi przenoszą się do miasta i tu żyją życiem robotnika miejskiego czy też życiem inteligenta. To by odpowiadało faktycznemu stanowi rzeczy, a jednocześnie scementowałoby te trzy fundamentalne warstwy społeczne.

Niemniej ważną będzie powieść w typie dydaktycznym, tak dla młodzieży, jak i starszych lub naukowo-informacyjnej nie tylko z etnografii czy systemach gospodarki w różnych dzielnicach naszego kraju, lecz i w systemach gospodarki w innych z nami sąsiadującyąm krajach z podkreśleniem dodatnich czy ujemnych stron danego systemu. Bohaterzy powieści, osnowa i poszczególne sceny powinny być jak najwięcej realne i zbliżone do prawdy bez zbytniego sugerowania osobistych poglądów autora. Natomiast sugerowanie idei ogólnoludzkich nawet przejaskrawione nie zaszkodzi, ale odwrotnie zbliży nas do celu, do którego dążymy.

A celem tym jest podniesienie poziomu moralnego i umysłowego naszego społeczeństwa, przez uświadomienie jednostki o jej obowiązkach względem społeczeństwa i umiłowanie Prawdy i Piękna, aby to umiłowanie Prawdy weszło w psychikę nie tylko jednostek, ale całego naszego społeczeństwa. To dopiero w połączeniu z trzeźwą oceną przemian historycznych, wczucie się w psychikę dyplomacji światowej zaprowadzi nasz Naród o słoneczej drodze Demokracji do idei Prawdy i Sprawiedliwości Społecznej.

Janina Rokicka (Krężnica)

Na pytanie postawione przez Redakcję — można krótko odpowiedzieć, że wieś pragnie dobrej powieści i to w najszerszym i najgłębszym słowa tego znaczeniu — dlaczego — bo powieść ma być nauczycielką, wzorem, przewodniczką, wreszcie przyjemnością i rozrywką. Wieś jest spragniona dobrej książki. Jestem już 5-ty rok na wsi — i głód książki jest mi dobrze znany! Stąd też znam gust wsi — wiem co lubi ona czytać.

Dziewczęta w szkole na wyżej wymieniony temat zadania odpowiedziały bardzo różnorodnie — gdyż mało było takich, które by jednakowe powieści czytały. Ogólny wniosek wysnułam taki — dziewczęta bardziej oczytane i inteligentne lubią powieści historyczne, a więc Sienkiewicza i Kraszewskiego (bo tych tylko znają) — inne zaś lubią powieści Rodziewiczównej, Mniszkównej, słowem pragną powieści kompensacyjnej wyrównującej ich braki życiowe — a powieści tego typu jak „Placówka", „Orka na ugorze" — podobają im się — ale uważają je swoim twardym realizmem („bo wszystko my i tak znamy — jeszcze czytać, że ten chłop zawdy uciemiężony"). Wielu dziewczętom podobała się ogromnie powieść Edge Peter „Hansyna", tłum. z norweskiego. Z rozmów o tej książce wywnioskowałem, że pragną takich powieści, w których by była przedstawiona kobieta, która własnym trudem i pracą (ze służącej z biednej kmiecej rodziny, jak Hansyna) — własną pracą doszła do stanowiska właścicielki wielkich domów handlowych dając uczciwą zapłatę rzeszom robotników. Dziewczęta chcą powieści o kobiecie-bohaterce szarej codziennej pracy — o kobiecie dobrej matce — o kobiecie społecznicy, (nieraz pytają jak pracować — jak być użyteczną), o kobiecie, biorącej udział w odbudowie państwa, umiejącej umiejętnie i owocnie pracować. Pragną powieści o kobietach, które przyczyniły się do powstania Polski tj. brały udział w walkach, bądź partyzanckich — bądź na froncie. Pragną też powieści biografii sławnych mężów i uczonych. — Dałam im do czytania powieść pt. „Edison" — W. Meadarcroft z bibl. „Wiedzy", zarówno dziewczętom (jak i chłopcom) szalenie się podobała. Dlatego też powieści popularyzujące sławnych ludzi, sławne dzieła — bądź też najnowsze wynalazki z dziedziny techniki, interesują młodzież żeńską (starszą) i chłopców. Chłopcy też pragną powieści z których by dowiedzieli się o życiu, obyczajach i pracach czy na roli, czy spółdzielczości, innych zawodów. Gdy im opowiadać coś np. o Danii (hodowli krów i produkcji) czy Holandii (uprawa kwiatów — walka z żywiołem, morzem, tamy) interesuje ich to ogromnie. Dobre więc byłyby powieści rozszerzające horyzont myślowy — traktujące o egzotycznych narodach Chińczykach, Japończykach — jak żyją, pracują, w co wierzą itp. Na wsi naszej — a jak słyszę i sąsiednich — rozpanoszyło się ogromnie pijaństwo przy najdrobniejszym nawet interesie (kupno, szycie ubrania itp.) musi być bimber — niech nad tym zagadnieniem też Panowie Pisarze pomyślą i bądź satyrą — bądź w inny sposób staną do walki, — bo† o trucizna młodzieży. Bohaterami powieści powinny być typy mocne fizycznie i duchowo, nieustępliwe w walce o byt, zdecydowane do walki o ideały, o szerokich horyzontach patrzenia na świat, kładące dobro ogółu — przed osobistą korzyścią, bezinteresowne w pracy społecznej, służący dobrze Bogu i Ojczyźnie. Powieść powinna wskazać jak żyć w nowych warunkach, wytworzonych przez reformy i obecne stosunki, powinni nauczyć młode pokolenie, że wolność, że te reformy to drogo są okupione krwią i ofiarami, żeby je ceniła. Wieś pragnie powieści z czasów okupacji niemieckiej — jest wiele wsi, które mogą pisać własną krwawą i łzawą historię — ale są i takie, które prócz kontyngentów i nielicznych jednostek ze swych mieszkańców nie straciły nic (do tych należy Krężnica i okolice) — dla tych więc trzeba powieści których tematem: Majdanek, Oświęcim, Buchenwald i tyle innych i dla tych co po nas przyjdą. Niech poznają na podstawie powieści przyszłe pokolenia jakim krwawym trudem i męczeństwem i śmiercią setek tysięcy — okupiona Wolność i Demokracja — aby ją ceniły.

Starsze pokolenie — kobiety lubią książki religijne np. „Guadelupa" (nie znam autora — wiem że to dzieje męczeństwa Meksyku) w ogóle powieści pisane z sercem, przemawiające do uczucia.

Kazimierz Simbierowicz

Ponieważ wychodzę ze środowiska wiejskiego, gdyż ojciec mój i dziadek posiadali gospodarstwo rolne i najmłodsze swoje lata spędziłem w służbie dla wsi, wobec tego znam ją dobrze, jej potrzeby, wady, dolegliwości i upodobania, to jednak chcąc sumiennie odpowiedzieć na powyższy temat, postąpiłem w ten sposób: uczę 5 i 6 klasę, w których mam razem 60 dzieci — postanowiłem więc za pośrednictwem tych dzieci zebrać materiał od ich rodziców i młodzieży; rozdałem dzieciom ankietę w liczbie 60 sztuk, na której były takie pytania: 1) Jakie książki dotąd przeczytałem? 2) Które z nich najbardziej mi się podobały i dlaczego? 3) Jakie książki chciałbym teraz czytać?

Po tygodniu otrzymałem 60 ankiet z odpowiedziami, lecz bez żadnego podpisu, żeby nikogo nie krępować. Odpowiedzi podzieliłem na działy stosownie do treści. Wyniki otrzymałem takie:

1) książki rolnicze — 3 odpowiedzi;

2) literatura piękna— jak: Ogniem i mieczem, Potop, Krzyżacy, Stara Baśń, Chłopi, Placówka i inne — 5 odpowiedzi;

4) obyczajowe, a zarazem geograficzne — jak: obce kraje i narody, ich urządzenia, ustrój polityczny, kultura, oświata itp. — 4 odpowiedzi;

5) podróżnicze — 8 odpowiedzi;

6) odkrycia i wynalazki, najnowsza technika, bomba atomowa — 6 odpowiedzi;

7) wielcy ludzie, ich okres dziecięcy, dążenia, upodobania, postępy w nauce, czyny i działania — 8 odpowiedzi;

8) okupacja niemiecka w Polsce i we wszystkich krajach okupowanych podczas ostatniej wojny — 18 odpowiedzi.

Ponieważ ostatni dział otrzymał najwięcej odpowiedzi, przeto chciałbym temu działowi poświęcić parę słów.

Otóż jeszcze podczas okupacji postanowiłem sobie, że jeżeli szczęśliwie przeżyję niewolę, jakiej świat nie widział, to będę usilniej dążył do tego, żeby wszystkie zbrodnie niemieckie, wszystkie krzywdy, jakie doznał naród polski od nich podczas ostatniej wojny zebrać z całej Polski przy pomocy komitetów gminnych, powiatowych i wojewódzkich i ten gotowy materiał oddać do opracowania specjalnemu komitetowi, w skład którego wejdą: literaci, poeci, historycy, byli więźniowie obozów koncentracyjnych, jednym słowem uczeni Polacy, którzy z tego materiału stworzyliby wiekopomne dzieło ku przestrodze dla żyjących i przyszłych pokoleń. Następnie powołać także komitet międzynarodowy celem zgromadzenia w jedną całość materiału ze wszystkich krajów okupowanych. Rzecz tę da się przeprowadzić przy pomocy Międzynarodowego Związku Byłych Więźniów Politycznych.

*) Patrz wypowiedzi Józefa Bieńka, Adolfa Kotarby, Antoniego Szmigularza, Piotra Ożarowskiego, Henryka Bilki, Stanisława Saramy, Mariana Cieślaka, Stanisława Kiszki i Stanisława Palecznego w n-rach: 1/80, 2/81. 3/82 i 4/84 „Wsi"

W OSTATNIM 4(84) NUMERZE „WSI" z dnia 27 stycznia 1947 r.

Stanisław Cieślak — **Rolnictwo w planie odbudowy gospodarczej (I)**; Piotr Chmura — **Dwa stycznie**; Kazimiera Iłłakowiczówna — Przekłady z węgierskiego (Lajos Aprili — **Poszła w ogród, Górale**); Jan Szczepański — **Refleksje w rocznicę powstania styczniowego**; Henryk Syska — **Im tak miła z Wisły woda, jak nam z Donu**; Anna Kamieńska — **Modlitwy księdza Piotra Ściegiennego**; Władysław Milczarek — **Strofy głodnych**; Leonard Sobierajski — **„Sprawa włościańska a powstania polskie"**; Bartłomiej Bigorajski — **Jeszcze uwagi o „Chłopskiej krwi"**; „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?: **Stanisław Kiszka, Stanisław Paleczny**; Lesław M. Bartelski — **Księżyc zimą zagubiony w rzece**; Stefan Lichański — **Talent i doktryna; O literaturze dwudziestolecia** — s. l.; **„Poradnik rolnika"**; — tp.; Fakty i zdania, komunikaty, ogłoszenia, 1 ilustracja, 8 stron.

Gustaw Przeczek

Tkacz — poeta z Jabłonkowa

Za Olzą leży skrawek ziemi jakby dłoń tylko. Różne już wyroki o tym skrawku ziemi wydano. Jedni nazwali go dwoma morgami ziemi i machnęli ręką. To ci, którzy tego skrawka ziemi nie widzieli. Wręcz przeciwnie wyraża się ten, kto te „dwa morgi" widział, kto odczuł ich piękno, ich wartość. To ziemia cieszyńska w granicach republiki czeskiej. Ziemia to bardzo urozmaicona. Kiedy udasz się z Cieszyna na północ, zagłębisz się w ciasny las kominów kopalń węglowych, czasem hałda przysłoni ci szerszy widnokrąg. Miniesz Karwinę, Orłowę i dotrzesz do Bogumina i do Odry, gdzie dawniej zbiegały się trzy granice i trzy kultury ścierały się wzajemnie. Jeżeli z Cieszyna udasz się na południe, powitają cię niebawem góry, piękne, pełne czaru i uroku Beskidy. Pozostawisz za sobą hutę trzyniecką i wejdziesz w zwężającą się dolinę. Wejdziesz w progi jednego z najstarszych grodów tej ziemi po Cieszynie — Jabłonkowa. Przemówi do ciebie stary dom jąbłonkowski z t. zw. podcieniem, przejdziesz łuk ściskający jakby chwytem krawędzie wąskiej uliczki prowadzącej z rynku i powędrujesz na granicę Słowacji, gdzie marzeniom puścić wodze możesz. Zatętni ziemia pod kopytami koni tureckich, jakieś echa walk, szczęk broni z wyzierających spośród traw szańców cię dolecą, więc usiądziesz i podumasz o przeszłości na łonie cudnej przyrody, bliżej Boga. Opuścisz przełęcz i powrócisz w stare mury Jabłonkowa, gdzie urodził się pierwszy z pieśniarzy tej ziemi, poeta z bożej łaski, nie uczony, syn tej ziemi, którą uprawiał, Adam Sikora, tkacz z zawodu.

Urodził się w tym samym Jabłonkowie 14 grudnia roku pańskiego 1819.

Jego ojciec, również Adam, z zawodu był tkaczem. Matka, z domu Lipowska, była niewiastą cichą i bogobojną, której łagodność i uprzejmość zjednywała sobie ogólny szacunek, a przywiązanie licznej rzeszy dziatek. „Wychowanie dziatek po Bożemu było ich najważniejszym staraniem, a całe życie domowe było urządzone po chrześcijańsku"— pisze w życiorysie swego ojca syn, Ludwik Sikora, krawiec z Jabłonkowa.

Posiadali kawałek własnego pola i skromną chatkę, w której mieszkali. Dziwny spokój od wczesnego ranka aż do późnej nocy panował w tej chatce, a życie płynęło tu jak Pan Bóg przykazał. Nabożna pieśń prawie nie schodziła z ust. Była pokarmem dla duszy.

Rodzice małego Adama byli bardzo czuli na nędzę swych bliźnich. Choć sami biedni, potrafili się wszystkim z biedniejszym jeszcze od siebie podzielić. Zwłaszcza w wigilię Bożego Narodzenia corocznie zapraszali jakiegoś biedaka do stołu. A ciężkie wtedy były czasy. Ziemia śląska dotknięta została kilkakrotnie w tym czasie klęską nieurodzaju. Głód niejednokrotnie nękał ubogich Jabłonkowian, zaraźliwe choroby przyłączyły się do wieńca niepowodzeń, ludzie marli dziesiątkami. Wielu sierót zostało bezradnych, bez domu, ale Sikorowie byli zawsze pierwszymi, którzy przygarniali je do siebie.

Nasz Adam był najstarszym dzieckiem Sikorów. W ósmym roku życia zaczął chodzić do szkoły. Była to szkółka parafialna, posiadająca dwie klasy. Nauczyciel Konert był równocześnie organistą przy kościele.

Adam chętnie chodził do szkoły, gdzie zwracał na siebie uwagę swoją przykładną pilnością i wybitnymi zdolnościami. Co roku otrzymywał nagrodę za pilną naukę. Pierwszą książką, którą otrzymał była „Książka modlitewna dla katolickiej młodzieży od pewnego księdza świeckiego dyecezyi Wrocławskiej, austryackiego cesarskiego królewskiego Slońska w Cieszynie roku 1823". Autor podpisany J. K. Ksiądz świecki w przedmowie do niej pisze: „Wydałem dla was kochane dziatki młodzieniaszkowie i panienki tę książkę, a to we waszym polszczyźnie bliższym języku". I tak każdy rok otrzymywał jakąś książkę za pilność w nauce. Ówczesny dziekan jabłonkowski ks. Piontek, spostrzegłszy u Adama niezwykły talent, radził rodzicom, by do szkół go posłali. Lecz Adam dla biednych rodziców wyrastał na jedyną podporę, więc pozostać musiał w domu rodzicielskim, ucząc się rzemiosła tkackiego.

Młodzieńcze lata spędza wśród rówieśników na zabawach i uciechach w wolnych od zajęć chwilach. Pracy było bardzo dużo w domu Sikorów. Pracowano od świtu do zmierzchu, a nawet wieczory często przeznaczane były na różne prace, jako to „poprawę narzędzi i różnych sprzętów domowych, dalej łupanie szczyp i lanie łojowych świec do oświetlania domostwa, topienie siarki, maczanie w niej drzazg, które zastępowały dzisiejsze zapałki i t. p. prace, wszystko to miała młodzież na swojej starości i jeden od drugiego się tego nauczył".

W niedzielę znów i święta po nieszporach w lecie bawiono się na pobliskiej polance Skotni, czasem ktoś na skrzypkach zagrał lub zapiskał na piszczałce, więc potańczono sobie i zaśpiewano.

Młodzież bierze udział przy uroczystościach kościelnych, a więc w Wielki tydzień, w Boże Ciało, towarzyszy w procesjach. Nigdzie nie brak Adama Sikory, a jego zdanie i słowo wypowiedziane pomiędzy współtowarzyszami ma decydujące znaczenie. W razie nieporozumień łagodzi spory, a wszyscy go słuchają. On zaś na uciechę zawsze umie coś wesołego opowiedzieć, lub jakąś stosowną według okoliczności pieśń zaśpiewać.

W tym czasie z Jabłonkowa i okolicy, gdzie zamieszkiwali przeważnie katolicy, odbywano pielgrzymki do Kalwarii i Częstochowy. Pielgrzymki te miały wielkie znaczenie, ponieważ tą drogą wędrowały na Śląsk książki, które były jedyną strawą duchową. Nasz Adam również niejednokrotnie odbywał takie pielgrzymki.

Kiedy nasz Adam miał 22 lata umarł mu ojciec. Było to w roku 1841. Na Adama spadł wtedy obowiązek starania się o byt matki i rodzeństwa. W roku 1845 ożenił sie z Anną Płoszkówną. Życie ich było wzorem bogobojności, pracowitości i uczciwości.

W następnych latach zwaliło się na Jabłonkowian kilka nieszczęść. A więc pożar 9 czerwca 1847 roku, nieurodzaj i powódź, po czym nastąpił głód i mór. Rok 1848 był rokiem dalszego niepokoju dla Jabłonkowian. Przez Jabłonków przechodzi pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy ciągnących przeciw powstańcom węgierskim. Według rozporządzenia cesarskiego stworzono gardę nacjonalną, która uczyła się władania bronią i pełniła służbę jako straż obywatelstka w liczbie 80-ciu, pełnił w niej służbę również Adam Sikora. Z tych czasów pochodzi jego pierwszy napisany w całości utwór okolicznościowy do gardzistów, który miał kilkanaście zwrotek. Pieśń ta z innymi urywkami pieśni świeckich, które w tym czasie napisał, spaliła się podczas pożaru domu rodzinnego Sikorów w roku 1890.

Adam Sikora odziedziczył po ojcu imię, zawód i ciężkie życie. Liczna jego rodzina nie zawsze się miała czego najeść do syta, zwłaszcza kiedy powiększała się rodzina, a rzemiosło tkackie upadało coraz bardziej i coraz mniejsze przynosiło dochody. Wszystkie więc dzieci, skoro tylko węzełek nici zrobić potrafiło, pomagało w pracy. Adam Sikora jednak nigdy nie narzekał na swój los. Zawsze wesoło patrzył na świat i obserwował bacznie wszystko, co wokoło się działo. Wynikiem jego obserwacyj i zainteresowań były krótkie okolicznościowe wierszyki — pieśni, które tworzył przy każdej okazji. Wszystko to, co zaprzątnęło jego umysł, znalazło swój wyraz w nowej pieśni. A więc kiedy córka arcyksięcia Albrechta Klotylda spaliła się w Wiedniu, on układa pieśń, w której boleje nad jej tragiczną śmiercią, kiedy budowano pierwszą fabrykę przędzalną w przysiółku miasta w Sigle, on w pieśni dziękuje przedsiębiorcy za nowe źródło dochodu dla ubogiego ludu górskiego, gdy zaś otwarto gdzieś w pobliżu nową szkołę, w pieśni wyraża swoją radość z powodu tego, że znów przybywa nowe ognisko oświaty, kiedy przyjeżdża do Jabłonkowa jaki dostojnik kościelny czy świecki znajduje okazję, by nową pieśń napisać. Pisze i oddaje do śpiewania. Pieśni jego szybko rozpowszechniają się pomiędzy ludem. Często przychodzą do niego z prośbą, by coś napisał, czy to na jakąś uroczystość publiczną, czy rodzinną, on nigdy nie odmawia. Tak powstały: „Kolęda Pastuszków", „Przychód św Trzech króli", „Pieśń o św. Dorocie" i inne. Jedna z najpiękniejszych pieśni, którą zatytułował „Dzieci" powstała na prośbę swej córki, by i dla niej pieśń napisał. W pieśni tej ustami Róży śpiewa o swym ubóstwie i każe nieść kwiatki w darze Jezuskowi.

W najbliższym sąsiedztwie Sikory mieszkał przeszło ośmdziesięcioletni staruszek J. Paduch u swego syna na wymowie. Pomimo różnicy wieku, byli dobrymi przyjaciółmi. Staruszek ten żywił szczególną cześć i zamiłowanie do św. Krzyża w Górnej Łomnej. To też pomimo swego podeszłego wieku co niedziela przy możliwie sprzyjającej pogodzie tam podróżował. Na jego prośby i życzenia ułożył piękne pieśni o św. Krzyżu w Górnej Łomnej, które wyszły drukiem nakładem tego staruszka.

Drugim dobrym przyjacielem Sikory był A. Poloczek, mieszczanin, mąż przyjacielski i życzliwy. Ponieważ był pierwszym śpiewakiem przy kościele, więc pieśni Sikory przy każdej sposobności, w drodze idąc na odpusty czy w kościele, śpiewał, sprawiając poecie uciechę i radość i dodając mu nowej zachęty.

Adam Sikora nie zaniedbuje jednak swego rzemiosła. Jest również wielkim miłośnikiem sadu i tu pracuje wydatnie świecąc wzorem i przykładem.

Stan zdrowia Sikory ostatnimi czasami pogarszał się. Pomimo jednak choroby, kiedy kaszel nie pozwalał mu zmrużyć oczu, wstawał z łóżka, zapalał światło i pisał rozpoczęte już dawniej pieśni.

W listopadzie 1871 choroba powaliła go zupełnie na łoże cierpień. Cierpi fizycznie i duchowo. Chce jeszcze żyć i pracować dla swych dzieci. „Pięćdziesiąt lat mam, ale jeszcze i teraz chciałbym żyć i pracować dla tych moich dziatek, które po mojej śmierci zostaną sierotami, dla nich radbym przeciągnąć swój żywot, a także i tego doczekać, ażebym te moje pieśni widział drukowane"— powiedział do dr. Tarnawskiego, który nie rokował mu już długiego życia. Zmarł nie długo po tym w rocznicę swych urodzin 14 grudnia 1871.

Mówiąc o pieśniach Adama Sikory, trzeba pominąć świadomie ich wartość literacką. Adam Sikora, który ukończył zaledwie miejscową szkółkę, nie znał literatury pięknej, a to co pisał, dyktowało mu uczucie, miłość do tej ziemi i do tych ludzi, z którymi na tej ziemi żył razem. Pieśni jego są obrazem duszy ludu śląskiego pierwszej połowy 19 wieku, są dokumentem jego życia, jego myśli, dążeń wiary i języka.

Nie doczekał się wydrukowania swych pieśni, które światło dzienne w formie książki ujrzały dopiero w roku 1887 w Krakowie. Śpiewał je jednak lud, syn i córka uczyli się ich od ojca i matki, uważając je za własne pieśni, bo z niego one wyszły i jego oblicze nosiły. Dlatego też te pieśni i ich autor warci są tego, by o nich wspomnieć.

Adam Sikora

DO LENIWEJ*)

Nadszedł mięsopust, dziewczyno kochana,
Trzeba sobie szukać jakiego galana.

Potrzeba ochoty i kuraży przydać,
Ażebyś się mogła w ten mięsopust wydać.

Trzeba podnieść ręce i rozruszać pleca,
Bo nikt cię nie będzie namawiał u pieca.

Trzeba sobie dobrze nasmarować nogi,
Boć teraz parobek każdy bardzo drogi.

Teraz nie potrzeba pieniędzy, ni chaty,
Gdy tylko będzie miał na sobie galaty.

Choćby się okrywał płóciennym żuponem,
To przecie obierze sobie ładną żonę.

Napominam ciebie, ile tylko mogę,
Jak będziesz leniwa, zostaniesz przyłogiem.

*) W nrze 50—51 „Wsi" z r. 1936 drukowaliśmy kolędę Adama Sikory p. t. „Pójdźcie chrześcijańskie narody".

Józef Kapuściński — *Głosy pisarzy*

Nowa książka

W Krakowie wydano ostatnio książkę **Kafla i Olchy** pt. „Wieś pisząca". Tytuł książki niepretensjonalny, okładka skromna, ale treść tej książki bardzo ciekawa, mimo, że nie jest to ani powieść o wojnie ani rys historii świata. Książka ta stanowi dla przyszłego badacza ważny dokument rozwoju myśli twórczej wsi.

Już sam tytuł książki mówi, że treścią jej jest wieś pisząca — i myślałby kto, że jest to zbiór życiorysów ludowych pisarzy, że jest to antologia twórczości wsi — a tymczasem ani jedno ani drugie nie jest treścią tej pięknej i pożytecznej książki. Autorzy tej książki Kafel i Olcha, pisarze i działacze społeczni wsi, postarali się uchwycić moment, wyzwalania się duszy ludu z ciasnych więzów klasowości i stanowej niższości. Grono ludzi, którym przyświecała myśl o stworzeniu lepszego jutra chłopu i wsi i zrównaniu go w prawach i zasięgach kultury z innymi warstwami, stanęło przed zadaniem znalezienia właściwej drogi do celu. Wśród szeregu rozmyślań i poczynań doszli do wniosku, że jedyną drogą jest podniesienie ducha ludu na wyższy poziom, jest oświata, która powinna być dostępna dla każdego chłopa i robotnika. Książka ta mówi o tych niedawnych, a tak ważnych chwilach, o ludziach, którzy szli przebojem poprzez wały i zapory stawiane przez władze i ludzi wstecznych.

Te momenty życia wsi i ludzi, którzy stali się zapalnym zarzewiem dla całego ruchu ludowego, są ujęte tak frapująco, że czyta się je jak najbardziej interesującą powieść.

Omówienie pierwszego w dziejach ludowych pisarzy krakowskiego zjazdu, czego następstwem były wyjazdy prelegentów-pisarzy na wieś — opis urządzanych wieczorów w stodołach, szopach, czyta się z zainteresowaniem od początku do końca. Powstanie pierwszego czysto chłopskiego pisma pt. „Wieś — jej pieśń", omówienie jego zasięgu, współpracowników jest ważnym bardzo przyczynkiem do przyszłej historii odrodzenia, wyzwolenia i rozwoju wsi.

Przykłady piszących prozą i wierszem są tak umiejętnie dobrane, że stanowią cenne dokumenty z owego okresu rozwoju literatury ludowej.

Książka ta omawia obiektywnie i rzeczowo poczynania i projekty Związku Literatów Ludowych, podaje listy autorów i działaczy wiejskich, odezwy, manifesty i pierwsze wydawnictwa chłopskich pisarzy. Książka ta stanowi ważną pozycję w dziejach wydawnictw nowego ruchu ludowego i powinna znaleźć się w każdej bibliotece na wsi i w rękach działacza społecznego, a da nam ważny argument w jego pracy dla ludu.

Jako dalszy ciąg tej książki powinna być wydana antologia poetów i pisarzy ludowych, w której by znalazły się utwory i Szarka, któremu mimo tego, że były to czasy reakcji i zacofania, robiono honory w dniu 50-lecia pisarstwa Kraszewskiego, a po śmierci wystawiono piękny pomnik ze składek. Nie od rzeczy też będzie nadmienić, że i Kurasiowi dano zagrodę i dom kupiono ze składek. Choć nie wszystko ładnie wyglądało... i z tym domem Kurasia i bytnością Szarka przy Kraszewskim, ale suma wdzięczności ogółu i fakt uznania ich pracy godnym nagrody publicznej zasługują na szczególną uwagę. Czy dzisiaj w czasach dla ruchu ludowego stokroć lepszych, można myśleć o takich objawach wdzięczności, za pracę pisarską, czy społeczną dla ludu?

Równocześnie z tą książką wyszło drugie wydanie poezji Kubisza pt. „Przednówek", tego śląskiego poety, którego pragnieniem całego życia jest złączenie się Zaolzia z Macierzą. Poeta, człowiek twardej szkoły życia, Polak i Ślązak twardy, jak stal, pisze swoje wiersze gwarą ludową.

W gwarze tej kryje się wiele niedomówień i wiele tajemnic. Poeta usiłuje w gwarze ludowej, twardej, ostrej, czasem trudno zrozumiałej zamknąć swój ból i swoją tęsknotę i żal za nieziszczonymi pragnieniami. Ta jego nuta smutku, tęsknoty i żalu przejawia się przez całą tę książkę, pisaną w ciągłej niepewności jutra. Poeta Kubisz ma wielką zasługę w tym, że do ogólnego skarbu poezji polskiej wnosi swój śląski kawał cennego kruszcu.

Jedno tylko trzeba dodać na końcu, że książki wydawane dla wsi i przez pisarzy ludowych są dosyć drogie i ciągle szerokiemu ogółowi niedostępne, a przecież po tej wojnie, po tej tragedii polskiej książki należy wieś zasilić dostatecznie tym duchowym pokarmem.

Historia o szlachetnej i pięknej Meluzynie

Zofia Szwaczkowa: Gizela, dziecię ludu polskiego. Skład główny Kraków, Księgarnia St. Kamińskiego; Warszawa, Gebethner i Wolf; Łódź, Oddział Księgarski „Społem", str. 310.

W literaturze spotykamy się często z faktami specyficznego zapóźnienia. Skąd to pochodzi? Na osobowość pisarską składają się, biorąc rzecz z grubsza dwa elementy: pierwszy — to struktura wewnętrzna człowieka, skłaniająca go do szukania uznania społecznego przez postawienie się w roli pisarza, drugim — będą te kulturalne wpływy zewnętrzne, które dostarczają mu narzędzi do pracy twórczej, narzędzia te — to suma dzieł literackich, które w historię zostały wpisane. Wartość poety czy powieściopisarza zależy od opanowania, przezwyciężenia i pójścia dalej poza to, co zrobiono dotychczas. Siła napędowa, zmuszająca człowieka do chwycenia za pióro, to jest tylko konieczny punkt wyjściowy, który jeszcze o niczym nie decyduje; gdy ten warunek zostanie spełniony, będzie chodziło o to, jakie narzędzia jednostka „ambicjonująca się" na literata dostaje do ręki, i jak nimi potrafi operować.

Książka Zofii Szwaczkowej pokazuje nam bohaterkę, która właśnie „musi" pisać. Stało się niedobrze, że Autorka nie odcięła się od stworzonej przez siebie postaci, że jej nie próbowała zobiektywizować: co gorsza, dała nam do zrozumienia, że mamy tu do czynienia z powieścią autobiograficzną bez żadnego zgoła zamaskowania. Z tych choćby względów wypowiadanie się w sprawie „Gizeli, dziecięcia ludu polskiego" jest żenujące. Powieścią Zofii Szwaczkowej zajmujemy się tu z tych względów, że może ona stanowić ciekawy przyczynek w dyskusji nad pisarstwem ludowym. Po zapoznaniu się z autorską przedmowa mamy ochotę wysunąć problem prawa, czy raczej bezprawia zaszeregowywania pisarza przez siebie samego do określonej grupy literackiej. Pani Szwaczkowa ze względu na pochodzenie społeczne pretenduje do miana pisarza ludowego, wychodząc z tego założenia i powieść swoją adresuje na „lud", bo według słów Autorki „lud nasz bowiem potrafi najbardziej rozumieć i najwięcej kochać to, co z niego samego pochodzi. Głębia zaś tej wewnętrznej postawy ludu jest Gizela".

Po zapoznaniu się z treścią powieści trudno nam zgodzić się ze stanowiskiem Autorki. Rzeczą rozstrzygającą jest tu kwestia, na jakie wzory natrafia autor postawiony w sytuacji, którą można określić w słowach „Odczuwam konieczność pisania".

Akcja wspomnianej powieści rozgrywa się na terenie Zagłębia Śląsko - Dąbrowskiego gdzieś na parę lat przed wojną światową. Środowisko, w którym przychodzi na świat bohaterka, to górnicy śląscy. Jakie imiona Autorka rozdaje między swoje powieściowe postacie: bohaterka główna — Gizela, jej matka robotnica — Eleonora, ojciec górnik (pijak i leń skończony) — Krystian, jedna z sióstr — Łucja. Dobór tych imion już nam wskazuje na pewne ślady. A teraz sposób stawiania postaci powieściowej. Mała Gizela jest robiona „na cudowne dziecko", wyposażone we wszystkie cnoty, „dziecię" to jest uosobieniem szlachetności, dobroci, a ponadto wzniosłości. Posiada ona duszę i ciało heroiny z romansu sentymentalnego, natomiast jej położenie socjalne jest położeniem „kopciuszka" z bajki. Jak bohaterki romansów średniowiecznych były często „nawiedzane" świętością, tak znów nasza Gizela jest „nawiedzona" darem poetyckim: pragnie się więc wypowiadać mową wiązaną.

Oto próbka z młodych lat:

„Choć do serc klucza nie masz w swym ręku,
Lecz swoim słowem pukaj bez lęku.
Kto cię rozumie, ten i otworzy
I dłoń pomocną na dłoń twą złoży".

Jesteśmy skłonni przypuszczać, że Autorka wybrała dla swej Gizeli złego mistrza. Nie trudno w nim rozpoznać księdza Bakę.

Fabuła powieści ma bardzo prosty schemat. Jest to schemat romansu francuskiego siedemnastego wieku. Bohaterka takiego romansu wyposażona była z góry w jakąś cechę dominującą — dawniej tą cechą bywała przeważnie świętość, bądź duma, wypływająca z urody, u Pani Szwaczkowej tą cechą jest uzdolnienie literackie. Bohaterka wg utartego zwyczaju natrafi na szereg trudności: twarde otoczenie, nastawanie na cnotę, kuszenie w celu zniszczenia prawości bohaterki, pod koniec w momencie kulminacyjnym jest i tradycyjne zemdlenie. Musi być naturalnie i klasyczny finał. Gizela się wybija, spotyka wreszcie i ona swojego rycerza „bez lęku i skazy", który jej dopomaga do zajęcia właściwej pozycji. Tym rycerzem jest pan Filming(!), sekretarz Związku Zawodowego.

Typ powieści, który nam daje Autorka, jest zapóźniony o całe dwa wieki, bo właśnie „Meluzyny, Fortunaty i Magielony" gdzieś u nas w XVIII wieku przeszły już na literaturę, którą podręczniki zwykły nazywać straganową. Te powieści jeszcze wtedy co prawda były ulubionba lektura dworków szlacheckich, by stamtąd zczytane na strzępy dostać się i pod wiejską strzechę. Ten moment ostatni nie jest jednak powodem dostatecznym, by ten typ powieści dziś wznawiać, powołując się na lud. W obronie smaku literackiego tego ludu trudno nam polecić powieść Pani Szwaczkowej. Wydawcom natomiast radzilibyśmy z życzliwości posłużyć się, by dostosować się do książki, nie dzisiejszym kolportażem, lecz takim, jaki stosowano u nas w XVIII wieku.

L. S.

Piotr Stanisław Ziarnik

Literatura na emigracji

Antologia „Nowej Polski"
pod redakcją Antoniego Słonimskiego
„POLIGRAFIKA" — 1946 r.

Socjologia literatury twierdzi, że emigracje mimo pozorów stworzyły w sumie bardzo nikły dorobek literacki i że znaczniejszą pozycję pokoleń emigrackich stanowią jedynie pamiętniki, które nota bene pisane były już po powrocie do kraju. Płodna literacko wielka emigracja polska końca XVIII i początku XIX wieku stanowi niewątpliwie rzadki wypadek w historii literatury świata, czy choćby Europy. Wystarczy powołać się na literaturę francuską w której Chateaubriand, Senancour, i X de Maistre zajmują stanowisko daleko mniejsze niż w naszej Mickiewicz, Słowacki, Norwid i inni, albo przypomnieć literaturę rosyjską, w której twórczość emigrantów poza publicystami (Herzen) i pisarzami politycznymi (Kropotkin) nie stanowi ważnej pozycji.

Jest rzeczą jasną, że rozwój literatury emigrantów zależny jest od składu tej emigracji, od jej kulturalnego poziomu, oraz od warunków, panujących w nowym kraju. Rzadko zdarza się, aby literaturą w języku ojczystym na emigracji zajmowali się ludzie, nie utrzymujący z nią już, w Ojczyźnie żywego kontaktu, albo aby żywsze życie literackie rozwinąć się mogło wśród emigrujących za zarobkiem.

Te wszystkie, jak i inne zagadnienia literatury na emigracji należy uświadomić sobie i rozważyć, gdy bierze się do ręki „Literaturę na emigracji", dużą in folio książkę, wydaną ostatnio przez „Poligrafikę".

Ze stanowiska historyczno - literackiego twórczość literacka emigracji z okresu 1939 — 1945, jest faktem zamkniętym, względnie zamykającym się w tej chwili. Jako taka może być ujęta i określona kategoriami historii, jak coś skończonego. Ale to tylko teoretycznie. W praktyce nie rozporządzamy dostatecznym zbiorem tekstów, dat, spisem osób i t.p. materiałem, bez którego synteza nie jest możliwa. W dodatku sprawę bardzo komplikuje fakt terenowego (nazwijmy to tak) rozbicia środowisk literacko - kulturalnych naszej emigracji. W związku z tym znaczną część literatury emigracyjnej poznaliśmy w jesieni i zimą 1944 r. oraz wiosną ub. roku. Była to literatura polska, wyrosła w ciągu pięciu lat emigranckiego pobytu grupy naszych literatów w różnych republikach Związku Radzieckiego, (Szenwald, Jastrun, Putrament, Ważyk, Wasilewska, Słobodnik....). Literaci ci wrócili do kraju w momencie wyzwolenia i rozpoczęli pracę kulturalną wcześniej nawet od tych, którzy wojnę przeżyli w kraju. Pierwsze książki, jakie zostały wydane w wyzwolonej Polsce, to był owoc twórczości literackiej tych pisarzy — emigrantów z czasu pobytu w ZSRR, gdzie „Biblioteczka Związku Patriotów Polskich" nie objęła z pewnością całości tej twórczości. W ten sposób ta część literatury emigracyjnej splotła się do pewnego stopnia z literaturą powojenną w kraju.

Rozwijająca się niemniej bujnie literatura polskich emigrantów na zachodzie Europy, w Anglii i Ameryce objawiła się w kraju znacznie później i tylko częściowo w związku z pojawieniem się na rynku księgarskim niektórych czasopism literackich, wydanych w Anglii. Repatriacja Polaków z Zachodu, wśród których przybyła również większość pisarzy emigrantów, otworzyła szerszy dostęp do tej twórczości. Książki Meissnera, Pruszyńskiego, artykuły Fiedlera, wiersze Słonimskiego, Tuwima, Broniewskiego i innych, przedruki z prasy polskiej na zachodzie w pismach krajowych, reportaże i korespondencje z różnych środowisk emigrantów polskich na Zachodzie — to trwające dotychczas studium „repatriowania literackiego".

Trzeba stwierdzić, że przecież na emigracji znalazła się znaczna część inteligencji polskiej, która miała wszelkie dane po temu, aby stworzyć żywy kulturalno - literacki na wychodźtwie. A że ten ruch stworzyła dowodzą utwory powstałe w ZSRR, jak również na Zachodzie Europy. Twórczości tego drugiego rejonu emigracji polskiej poświęcona jest „Literatura na emigracji", wydana pod redakcją Antoniego Słonimskiego.

Książka jest traktowana przez wydawców jako tom, więc stanowi otwarcie cyklu. Szkoda, że we wstępie (gdzie Słonimski wskazuje na pismo „Nową Polskę" jako źródło utworów, które znalazły się w książce), nie określono zamiarów, jakie zrealizować zamierza wydawnictwo „Poligrafika" w całym cyklu. Nie określono nawet, co zawierać będzie następny tom. Nie powiedziano również nic na temat emigracji, ani ogólnego rozwoju literatury polskiej w Anglii, Ameryce i innych krajach. Ostatnia sprawa ma w tej chwili zbyt wszechstronny i aktualny charakter. Trakowanie jej stałoby się studium polemiczno-publicystycznym i musiałoby siłą rzeczy analizować sprawy pozaliterackie, angażując jeszcze w tej chwili zbyt silne pasje.

Powiedziałem, że nazwanie książki tomem nakazuje, aby traktować ją jako część nieokreślonej całości. Przy tym zastrzeżeniu niedość wytłumaczony wydaje się podział tomu na trzy części: poezję, prozę i zagadnienia społeczne, gdyż to sugeruje, że poszczególne części zostały w ogólnym obrazie sprezentowane wyczerpująco. Trudno przypuszczać, aby tak było istotnie, bo przecież nawet cytowani autorzy (choćby tylko poeci) napisali znacznie więcej. Zastrzeżenie to ubiega Słonimski, twierdząc, że starano „się te utwory wybrać, które najpełniej reprezentują myśli i uczucia pisarzy polskiej emigracji w Anglii", ale mimo to liczba dwu utworów przyznanych każdemu z cytowanych poetów (za wyjątkiem Pawlikowskiej, która ma trzy wiersze) jest niepokojąco nisko.

Część pierwszą „Literatury" otwierają dwa wiersze Józefa Wittlina: „Stabat mater" i „Na sądny dzień żydowski r. 1924 (5703)". Autor „Hymnów" osiąga w tych dwu krótkich pieśniach (jedna pisana niewyszukanym i nieporadnym dystychem) rzadkie we współczesnej naszej poezji natężenie bólu, który niema siły na bunt i skargi, który może się tylko modlić. Pasja Wittlina spętana została nastrojem i wzniosłością tematu, które wyrażają się tradycyjnie i klasycznie. To piętno mają również wiersze innych autorów. Operująca niegdyś wycyzelowanym krótkim wierszem Maria Pawlikowska w przytoczonych wierszach nie bawi się kunsztem strofy i niezwykłością dźwiękową wiersza. Drobny ślad tamtych upodobań pozostał jedynie w wierszu „Dla Minotaura", pozostałe dwa mają odpowiedniki formalne w okresie „Młodej Polski", albo w klasycyzującym futuryźmie. To odejście Pawlikowskiej od swego genre nie dało dobrych wyników.

Utwory Juliana Tuwima „Z Kwiatów Polskich" i „Odezwa do psów", stanowią mały wyjątek twórczości tego poety i dlatego trudno na ich podstawie przy ogromie dorobku z okresu między-wojennego charakteryzować jego twórczość na emigracji. Podobnie rzecz ma się ze Słonimskim i Broniewskim.

Najbogaciej reprezentowany jest Stanisław Baliński („Noce Szekspira" i „Wieczór w teatrze Wielkim"). Utwory niewiązane tematycznie z czasem-wojną, tęsknotą za krajem (wybuchającą u Pawlikowskiej i Słonimskiego) — mają klarowną budowę, wzniosły spokój, równy epicki tok słów. Poeta, operujący doskonale wierszem, używa w obydwu utworach trzynastogłoskowca z wyraźną cenzurą po trzeciej stopie, lubując się trochejem. Przy lekturze tych wierszy przypomina się doskonale „Lechonia", „Mochnacki", albo jeszcze bardziej (nie ma w tym przesady) „Pan Tadeusz".

Uwagę zwracają utwory Themersona i Bogumiła Andrzejewskiego, utwory ultranowoczesne, niepozbawione — przy orginalności i kondensacji — pewnych dziwactw nowatorstwa, co jest uderzające w zestawieniu z utworami poetów starszej generacji, jak również z wierszem „Szept" — Ireny Tuwim, zamykającym część pierwszą tomu zbolałym psalmem.

W części drugiej, zatytułowanej „Proza" znaleźli się obok Ksawerego Pruszyńskiego, Porucznika Herberta (oczywiście Meissnera), A. Fiedlera i Karola Estreichera, Papuga, M. Pruszyński, F. Topolski, Themerson, M. Danielewiczowa i B. Pomian. Na 13 utworów prozatorskich składają się w większości reportaże, fragmenty powieściowe, nowele, szkice (Themerson i Topolski) i opowiadania wojenne, które przypominają rozpowszechnione ponad miarę i w kraju „fragmenty ulotne" o czasach wojny i okupacji. W stosunku do znanych utworów, powstałych na „łonie Ojczyzny", te mają jednak bezwzględną przewagę. Są ambitniejsze literacko, lepiej opracowane stylistycznie, mają wyraźne koncepcje artystowskie, które kształtują i komponują materiał doświadczeń z frontów dla efektów wyraźnie literackich (Pomian — „Najjaśniej świeci Betelgense'a"). Poza tym niektóre, jak Themersona „Śledztwo", względnie Topolskiego „Notatki z ostatnich dni wojny" są wyrazem poszukiwania nowych dróg dla relacji z wypadków lub spraw.

Zupełnie odcinają się od tej większości dwie nowele: Karola Estreichera „Miedziana miednica" i Marii Danielewiczowej „Od Tążyny". Są to dwie najlepsze chyba nowele tego działu nie dlatego, że od tamtych różne, ale że zostały napisane przez doskonałych prozaików - stylistów. Estreicher wraca w noweli do lat swego dzieciństwa, wspomina czasy dawne, atmosferę Krakowa z czasów profesury Stanisława Estreichera. Nowela napisana doskonałą polszczyzną, językiem prostym ale żywym — przypomina rozdział z książki Kadena Bandrowskiego „W cieniu zapomnianej olszyny" — zdaje się rozdział ten ma tytuł „Gujsztwak". Pietyzm dla lat dziecinnych, oglądanych oczyma człowieka dojrzałego, dla atmosfery, towarzyszącej badaniom ojca — autora monumentalnej bibliografii piśmiennictwa polskiego, wreszcie dla starych druków — stworzyły jedną z najlepszych nowel, z okresu wojny i po wojnie.

Owocem nawrotu myśli do dalekiej przeszłości jest również nowela Marii Danilewiczowej „Od Tążyny", wskrzeszająca typy polskich Pickwicków w opowiadaniu zlekka archaizowanym. Pobłażliwa ironia, z jaką autorka traktuje sprawę ustalenia właściwej nazwy rzeki, problemu zbieżności nazw rzeki z plemieniem Łużyczan jak również bohaterów sprawy, pochodzą bezsprzecznie od Dickens'a. Okazuje się, że takie tradycje mogą być przez współczesnych wykorzystywane z powodzeniem i wartoby nad nimi głębiej się zastanowić. Nie zamierzam analizy tej przeprowadzać tutaj, gdyż nasuwa się ona tylko marginesowo.

Zresztą należy trzymać się tematu.

Więc część trzecia i ostatnia „Literatury na emigracji" — „Zagadnienia społeczne".

Jakkolwiek sprawy tu poruszone mają największą aktualność, trudno w recenzji omówić je choćby pobieżnie. Wyliczę dla przykładu tytuły kilku rozpraw:

Joan Robinson „Gospodarka planowa", Oskar Lange — „Gospodarcze podstawy demokracji w Polsce", Olgierd Górka „Historyczny rewizjonizm — przebudową polskiego myślenia", Antoni Słonimski „O nacjonaliźmie". Wszystkie przytoczone jak i pozostałe studia wymagają traktowania merytorycznego i powinni zająć się nimi socjologowie, ekonomiści i politycy. Przypuszczam, że to zrobią.

Gdy z perspektywy tych omówień patrzy się na „Literaturę na emigracji", trzeba stwierdzić, że wydawnictwo „Poligrafiki" jest owocem pożytecznej inicjatywy i jakkolwiek ten jeden tom się pozwala sądzić o całości twórczych wysiłków intelektu i talentu emigrantów polskich na Zachodzie Europy i w Ameryce, przecież obraz ten przybliża i szkicuje. Z tego względu tomy następne ukazać się powinny jak najrychlej.

Stefan Lichański

Pamiętnik literacki pisarza chłopskiego

Józef Kapuściński: Ciernisté ścieżki literatury ludowej. Biblioteka Pisarzy Ludowych Nr 1. 1946. Kraków — Warszawa. Wydawnictwo Ludowego Instytutu Oświaty i Kultury, str. 119+1 nl.

W przedmowie otwierającej książkę Kapuścińskiego pisze prof. Pigoń: „Nie jest to właściwie zarys dziejów, ni obraz rozwoju literatury ludowej: jest to raczej pamiętnik literacki autora". Określenie to jest najzupełniej słuszne. Aczkolwiek pierwsza część pracy Kapuścińskiego nosi tytuł „O czasopiśmiennictwie i pisarstwie ludowym", nie ma ona jednak charakteru naukowej monografii, a jest raczej zbiorem wspomnień osobistych, uzupełnianych tylko od czasu do czasu wiadomościami czerpanymi z lektury. Wiadomości te podaje Kapuściński w sposób suchy, ściśle sprawozdawczy; rozpisuje się, nabiera rozpędu dopiero wtedy, kiedy przechodzi do zdarzeń i ludzi znanych mu bezpośrednio.

Na pewno fachowy historyk literatury napisałby tę rzecz lepiej, gruntowniej, ze staranniejszym wykorzystaniem źródeł, ale na pewno także nie zamieściłby tylu uwag i wspomnień, z głównym tematem pracy luźno związanych, ale ożywiających ją, nadających jej ton bezpretensjonalnej, swobodnej gawędy o dawnych ludziach i dawnych sprawach.

Kapuściński nie poprzestaje zresztą na samym opowiadaniu o dziejach literatury ludowej. Stara się on także formułować swoje poglądy na tę dziedzinę twórczości ludu wiejskiego, wysuwać własne postulaty pod adresem jej badaczy. I tak np. protestuje Kapuściński przeciw niezaliczeniu do pisarzy ludowych niepiśmiennych improwizatorów, jak Sabała. Próbując określić kogo należy uznać za pisarza ludowego, formułuje Kapuściński swoje poglądy następująco:„ Moim zdaniem, poeta, pisarzem ludowym naprawdę jest ten człowiek, który stale mieszka na wsi, pracuje na roli, jest gospodarzem czy też pracownikiem społecznym, ale który się nigdy ze wsią nie rozstaje w swoim życiu. Co innego jest literat, nawet ze wsi rodem, który ukończył bodaj szkołę średnią, zajął jakieś stanowisko w mieście, który ma inne, miejskie otoczenie, ma do dyspozycji bibliotekę, księgarnie, czasopisma i inne źródła oświaty i kultury.... Ich obu można by porównać do dwu ludzi, z których jeden czerpie wodę ze studni pełnej i głębokiej, a drugiej z kałuży po czasowym deszczu powstałej".

Zagadnienie odrębnej literatury ludowej jest więc dla Kapuścińskiego zagadnieniem sytuacji społecznej i materialnej pisarza-chłopa oraz poziomu jego wykształcenia. Ujęcie zagadnienia godne uwagi, zwłaszcza, że wyszło spod pióra autentycznego pisarza ludowego.

Bardzo cenną pozycją książki jest zbiór odezw w sprawie zorganizowania literatury ludowej, pochodzących z lat 1903—1933, a po raz pierwszy opublikowanych zbiorowo.

Część druga książki zatytułowana „Moja droga do poezji" jest pierwszym chyba pamiętnikiem literackim chłopskiego pisarza, pamiętnikiem, w którym główny nacisk pada na sprawy dopracowywania się pozycji literata ludowego i na wspomnienia o działalności pisarskiej oraz organizacyjnej. Bo Kapuściński nie tylko zajmował się pisaniem, z równą pasją pracował nad zorganizowaniem pisarzy ludowych w jednolity zespół i nad spopularyzowaniem ich twórczości przez wydanie dużej parotomowej antologii. Niepowodzenia tych zamierzeń jak również ciężkie przeżycia osobiste nie złamały go. Pracował niestrudzenie do wojny, a teraz — mimo nie korzystnej sytuacji materialnej — znowu wziął się do pióra. Znamionuje Kapuścińskiego prawdziwie chłopska wytrwałość i stałość przekonań, serdeczny stosunek do wsi i jej ludu, a szczególna życzliwość wobec wszystkich chłopów-kolegów po piórze. Jego pamiętnik literacki stanowi bardzo cenny materiał dla badacza i monografisty owego okresu dziejów literatury ludowej, ale warto tę książkę czytać i ze względu na samego autora. Bardzo to bowiem charakterystyczna dla swego czasu i środowiska i bardzo sympatyczna postać. Kiedy weźmie się pod uwagę jego zasługi w organizowaniu i rozpowszechnieniu literatury ludowej, musi się przyznać, że ma autor rację pisząc o sobie: „W przyszłości badacz tej dziedziny ludowej kultury dojdzie do tego wniosku, że mimo wszystkich głosów i odgłosów w tej sprawie ja byłem tym łutem drożdży, który w dzieży mąki zrobi dobre ciasto".

Dołączoną do książki Kapuścińskiego rozprawą prof Pigonia „Główne problemy literatury ludowej" wypadnie nam zająć się osobno.

FAKTY I ZDANIA

WILCZE KŁY

W numerze 4 „Tygodnika Warszawskiego" dr Kazimierz Rakowski w artykule pt. „Tendencyjne alarmy niemieckie" poddaje rzeczowej krytyce tezy dzisiejszej propagandy niemieckiej usiłującej za wszelką miarę przekonać świat, że odebranie Niemcom ziem wschodnich stanowi poważne zagrożenie egzystencji gospodarczej Niemiec. Dr Rakowski rozpatruje wyłącznie aspekt gospodarczy tej sprawy i na podstawie danych statystycznych zaczerpniętych ze źródeł niemieckich (Statistik des Deutschen Reichs Bd 599, Berlin 1941 i in.) oraz na podstawie wypowiedzi niemieckich specjalistów do spraw agrarnych Konrad Meyer) dowodzi fałszywości tezy niemieckiej: Gospodarstwo niemieckie — pisze autor — ma przed sobą jeszcze dwie niewyzyskane a obfite rezerwy:

1) przeszło pół miliona nieużytków i pustkowi,

2) przebudowę ustroju rolnego na formy produkcyjniejsze.

Przebudowę ustroju rolnego, to znaczy po prostu parcelację większych własności, pełną reformę rolną..

Co jednak oznacza wysuwanie przez propagandę niemiecką argumentów natury gospodarczej? Jak widzimy argumenty te są fałszywe i bezpodstawne. Nas interesują przede wszystkim aspekty polityczno-społeczne całej sprawy, pominięte przez autora cennego artykułu. Czy nie zastanawiającym jest to właśnie, że nasilenie propagandy niemieckiej przypada na okres tuż przed konferencją moskiewską? Prasa donosi o codziennych wystąpieniach rozmaitych panów Schuhmacherów, mówiących zaledwie w dwa lata po zakończeniu wojny o „misji dziejowej narodu niemieckiego", o krzywdzie, wyrządzanej Niemcom, ba są tam nawet pogróżki, że naród niemiecki „nie pozwoli"., że jednakowo zapatruje się na tendencje „okrajania" Niemiec ze Wschodu jak i Zachodu. Do tych „pierwszych skrzypiec" akompaniamentem i to poważnym ma bgyć owa kampania gospodarcza. Ale o jakiejże „misji dziejowej narodu niemieckiego" może być mowa teraz, kiedy nie obeschła jeszcze ziemia od łez i krwi mordowanych ofiar hitleryzmu? „Misja dziejowa" — wiemy jaką ona jest — Pomorze, olsztyńskie, poznańskie, śląskie — wszystko to „ziemie niemieckie" — my z łaski panów, zamknięci w jakiejś tam gubernii dostarczamy niewolnika dla „Herrenvolku" — nie, panowie sąsiedzi, dość tego! Nowy świat, który idzie, nie zna takich „misji dziejowych".

j. l.

SAMOPOMOC CHŁOPSKA ZAKŁADA TEATRY

Jest to wiadomość sensacyjna, ale prawdziwa Czyżby powoli realizowało się nasze marzenie o wpływie kulturalnym Związku, o realizacji owego punktu Statutu, na którym opiera się cała nasza gorąca nadzieja, a który mówi o zadaniach kulturotwórczych nowej organizacji, stawiając je na równi z gospodarczą i organizacyjną przebudową losu chłopskiego?

Ten wstęp był w tonie żartobliwym, choć jak każdy żart zawierał iskierkę prawdy o naszych tłumionych ambicjach. Jakby nie było, przejęcie Teatru Miejskiego w Jeleniej Górze przez Samopomoc jest zjawiskiem niezwykłym, tym bardziej, że nie chodzi tu o wynajęcie sceny na przedstawienie amatorskie, a o stałą dzierżawę (na razie zawartą z Zarządem Miejskim do 31 sierpnia 1947 r.), i to głównego teatru w mieście. Jest to ta sama ruchliwa placówka Samopomocy, która zorganizowała przedstawienie „Chłopskiej krwi" Łazarka, omawianej w N-rze 46(74) „Wsi". Teraz pod firmą „Teatr Samopomocy Chłopskiej" będzie ona prowadzić „stały teatr ochotniczy", pragnie również uruchomić szkołę teatralną, samą zaś scenę poddać pod kontrolę czynnikowi społecznemu, zespolić na jej terenie wysiłki miejscowego „Ośrodka dramatycznego TUR" z własnymi (np. zobowiązała się Samopomoc do „oddawania TURowi pierwszeństwa przed innymi stowarzyszeniami w korzystaniu z urządzeń teatru nie mniej, niż cztery razy w miesiącu").

Niesposób jeszcze ocenić tego niezwykłego posunięcia, dokonanego śmiało przez Samopomoc na Ziemiach Odzyskanych. Brak miejscowej tradycji kulturalnej sprzyjał temu rewolucyjnemu krokowi, który nie powiódłby się w Lublinie, Sosnowcu, czy innym mieście, którego ławnicy dumni są ze swojego stałego zawodowego teatru. Nie wiadomo, jak zareaguje na to Zw. Artystów Scen Polskich, zazdrośnie kontrolujący warunki fachowości pracy aktorskiej; mimo, że wobec stanu teatrów w Polsce (rozbicie nielicznych sił artystycznych na 50 zawodowych scen, — Ministerstwo ma bowiem dziwaczne ambicje „by wszędzie były teatry", a nie „by teatry były dobre, choćby mniej liczne") fakt powinien być oceniony raczej dodatnio. Lepszy jest poważnie prowadzony teatr ochotniczy, wyrażający „oddolne" tendencje kulturotwórcze, niż zawodowe szmiry, mordujące „Moralność pani Dulskiej" itp., jakich są dziesiątki w kraju. W każdym razie, usiłowania jeleniogórskiej Samopomocy stanowią ciekawy precedens, i nie zgadzamy się z zastrzeżeniami, wyrażonymi przez wrocławskie „Słowo Polskie" z dnia 20.12.46.

„Miasto Jelenia Góra, jako najpoważniejsze centrum turystyki ogólnokrajowej, powinno posiadać nie tylko teatr amatorski czy szkołę dramatyczną, ale w pierwszym rzędzie powinno dysponować stałym, zawodowym zespołem artystycznym, stojącym na wysokim poziomie, jakiego wymaga reprezentacyjny charakter miejscowości".

Znamy te „zespoły o wysokim poziomie", zasilające kurorty! (czy zresztą rzeczywiście turystom wielkomiejskim potrzebny jest w Jeleniej Górze teatr znakomity, skoro zawsze lepsze mieć będą tam, skąd przyjechali, i nie dla oglądania teatru przyjechali?). Znamy też ambitne kierownictwo jeleniogórskiej Samopomocy, które przygotowało na pewno budzące wiele zastrzeżeń, ale jakże ambitne przedstawienie „Chłopskiej krwi!" Jelenia Góra, miasto zamieszkałe przez nowy, emigracyjny element ludowy, może się poszczycić, że stało się terenem niezwykłego u nas eksperymentu: „doły społeczne", przez swoją spółdzielczą placówkę, zagarnęły scenę, i chcą z niej zrobić placówkę kultury ludowej; zobaczymy, co z tego wyniknie.

Z. K.

CZY PROSTACZKOWIE ZROZUMIEJĄ DOBRĄ MUZYKĘ?

Takie mniej więcej zapytanie stawia Witold Rudziński w jednym ze swoich „Odcinków muzycznych" w „Dzienniku Łódzkim" (Nr 347) Autor interesuje się specjalnie problemem popularyzacji dobrej muzyki; zagadnienie to męczy go zarówno w jego twórczości kompozytorskiej (wydał „7 pieśni ludowych na 3 głosy mieszane w łatwym układzie", w Pol. Wyd. Muzycznym), jak i w działalności publicystycznej. (Propaguje w stałym felietonie w piśmie codziennym, — co jest u nas rzadkością — poważne zagadnienia muzyczne, usiłując zainteresować nimi czytelników najbardziej przeciętnych). I tym razem prowokuje do dyskusji, — zresztą ciągle naprożno, — nad jednym z najważniejszych zagadnień nowej kultury ludowej. Omawiając „Cud mniemany czyli Krakowiaków i Górali". (Pisaliśmy o tym przedstawieniu w N-rze świątecznym „Wsi"), stwierdza, że muzyka tej opery jest łatwa, o niewysokich pretensjach artystycznych i twórczych, i dlatego ma powodzenie:

„Muszę się przyznać, że mam złośliwe wrażenie, że poziom tej muzyki i wymagania, które ona stawia słuchaczowi stanowią niemal maximum tego, co przeciętny słuchacz polski zdolny jest strawić. Jeśli zgodzimy się na to, to musimy przyznać, że niedaleko posunęliśmy się od czasów Bogusławskiego.

A oto dowody. W Jeleniej Górze wystawiono operę ludową pt. „Chłopska krew". Zygmunt Kałużyński, który we „Wsi" poświęcił jej artykuł, zaznacza, że kompozytor-samouk Łazarek napisał ją w stylu „Halki", ale nie w stylu arii i duetów „Halki", tylko jej tańców góralskich. To oznacza akurat tyle, co nietrudna muzyka „Krakowiaków i górali". Umyślnie nie dopowiadam wielu rzeczy, bo chcę wywołać obszerniejszą dykusję na ten temat".

Rzeczywiście, wyczerpująca dyskusja w okresie, gdy działa instytucja nieznana u nas dotychczas, jak LIM, gdy planuje się TEATR MASOWY na skalę niespotykaną dotąd, — byłaby specjalnie potrzebna. Istotnie, na festiwale do Salzburga, gdzie grano w wyrafinowanej oprawie scenicznej opery Mozarta, na spektakle do Bayreuth i na przedstawienia Berga i Hindemitha w Madison Square Garden przybywali przedstawiciele klas najwyższych, bogata finansjera i międzynarodowa arystokracja. Istotnie, Łazarek doszedł do wniosku, że najprędzej zdobędzie sukces, i stworzy muzykę każdego za serce chwytającą, gdy skomponuje ją raczej w duchu łatwych i rytmicznych „tańców góralskich", niż w stylu aryj z „Halki", przecież też nietrudnych, a jednak już podobno nasuwających kłopoty dla ludowego słuchacza. Ale teraz pytanie: czy ten słuchacz, wprowadzony na wzorowo opracowane przedstawienie „Króla Rogera" czy „Harnasiów" Szymanowskiego, rzeczywiście wynudzi się, zmęczy, nie nie pojmie, czy też, jeśli przedstawienie będzie znakomite, i opatrzone interesującym objaśnieniem, czy na najmniej przygotowanego widza nie oddziała? Pamiętajmy, że przyzwoitej sceny muzycznej nie było u nas nigdy, pamiętajmy co powiada Diderot, — że nie ma gorszego teatru jak zła opera, i nie ma wspanialszego teatru jak dobra opera. Zapytajmy przedstawiciela kultury bardziej rafinowanej, czy to nie wychowanie, przyzwyczajenie i snobizm każe mu siedzieć spokojnie, bez narzekań, na przedstawieniu w którym śpiewak wymawia słowa niezrozumiale, a dekoracje chwieją się z chrzęstem zagłuszającym co subtelniejsze barwy orkiestrowe... Dopóki nie zrobimy tego doświadczenia, by wprowadzić rzesze widzów na bardzo nawet trudną operę, — dotąd nie będziemy napewno wiedzieli.

Gdyby zaś nawet założyć, że dla widza ludowego Ryszard Strauss, Strawiński i Debussy będą nie do strawienia, nie będzie to bynajmniej pochwałą dla owych twórców operowych. Arcydzieła muszą być jasne; i są. W operze panuje u nas stały szablon repertuarowy, obracający się między Toską — Trawiatą — Faustem; opery te uchodzą za prawdziwie popularne, i dobrze wykonane na pewno są dostępne dla każdego. A przecież styl ich nie jest łatwiejszy, niż styl wielu arcydzieł klasycznych, znacznie jako dzieła sztuki szlachetniejszych, nigdy u nas niegranych, a obdarzonych wszelkimi danymi by mogły być bez trudu zrozumiane: „Norma" Belliniego (łatwa śpiewność, akcja patriotyczna — walka Gallów o wolność, nadająca się do aktualizacji), „Łucja" Donizettiego (fascynująca widza ludowego fabuła), „Wolny strzelec" Webera (elementy baśni ludowej), opery Glucka, Aubera wreszcie z polskich kompozycje Moniuszki i jego następców, Żeleńskiego, Minchejmera... Ludowy teatr operowy nie musi być trywialny, a może być niepospolitą dźwignią kultury i muzycznej i teatralnej; przykład osiągnięć ZSRR jest tutaj wymowny.

z. k.

KU CZCI KOŚCIUSZKI

Główny Komitet Kościuszkowski w Krakowie wydał w ub. roku jubileuszowym kilka cennych książek o naszym bohaterze narodowym. Między tymi broszurę prof. A. E. Balickiego pod podanym wyżej tytułem, dającą „garść uwag na temat przygotowywania uroczystości narodowych". Autor mówi właściwie tylko o urządzaniu poranków, akademii, wieczorów i uroczystych przedstawień ku czci Kościuszki na różne rocznice jego czynów i życia, lecz „mutatis mutandis" uwagi tam zawarte dadzą się zastosować do urządzania uroczystych obchodów ku czci każdego wielkiego człowieka. Są one świetnym poradnikiem, przeznaczonym przede wszystkim dla działaczy wiejskich, którzy w tych *wypadkach muszą się porać z wielkimi trudnościami* i robić powolne doświadczenia.

Prof. Balicki, znany z wybitnego talentu reżyserskiego i mistrzowskiego inscenizowania wszelkiego rodzaju uroczystości narodowych, dzieli się z kierownikami wiejskich obchodów swym bogatym doświadczeniem i daje wskazówki wszechstronne: i co do prelekcyj i deklamacji solowej i zbiorowej, i części wokalno-muzycznej, co do dekorowania sceny, nawet co do literatury i montażów literackich, Przez wydanie tej broszury Komitet dużą zrobił przysługę na polu podnoszenia kultury wsi polskiej.

K. Sosnowski

Eugeniusz Płomieński

Jeszcze w sprawie Dembowskiego i Szeli

W numerze 47-ym tygodnika „Wieś" pojawił się duży artykuł młodego, utalentowanego publicysty L. Sobierajskiego, poświęcony mojej książki pt. „W kręgach polskiej irredenty". Artykuł ten zawiera pewne nieścisłości, które pozwolę sobie sprostować. Autor tego artykułu pisząc o stosunku Edw. Dembowskiego do zagadnień ludowych przypisywał mu postawę dosyć szablonową w tej epoce inspirowaną przez romantyczną „koncepcję ludu serdecznego", poprzedzoną „sielankowo-stylizowanym Wiesławem" Kaz. Brodzińskiego. Trzeba tu znaznaczyć, że postawa Brodzińskiego wobec ludu daleka była w jego epoce od szablonu Przeciwnie, cechowała ja raczej pewna odkrywczość, nic wspólnego zresztą niemająca z autentyzmem życia ludowego. Zawierała ona wtedy nowe spojrzenie na psychikę chłopa. Jeżeli się zszablonizowała z czasem, to stało się to wskutek jej naśladowczego powtarzania. Jest to zresztą typowe prawo przeobrażenia się postaw, gustów estetycznych z postaci promieniującej czynnej w formę statyczną. Już polski romantyzm oddalił się częściowo od postawy Brodzińskiego wobec zagadnień ludowych. Poza jedynym Sew. Goszczyńskim, żaden z polskich romantyków, nie wyłączając Zygm. Krasińskiego, który w „Psalmach" nie wyszedł poza charakterystyczną dla swojej organizacji twórczej retorykę („z szlachta polska polski lud") nie traktował ludu od strony problematyki społecznej. Motywy ludowe (np. w „Balladach" itd.) były tylko estetycznym składnikiem tworzywa artystycznego — w polskiej literaturze romantycznej. Natomiast polska publicystyka zdobyła się na całkowity przewrót w stosunku do zagadnień ludowych. Było to zasługą przede wszystkim emigracyjnego „Towarzystwa Demokratycznego" oraz jego bodajże naczelnego publicysty Wiktora Heltmana. Krajowa publicystyka tej epoki posunęła się jeszcze dalej. Jej główny przedstawiciel Henryk Kamieński (pseudonim — Filaret Prawdowski), autor znanego i głośnego dzieła pt. „O prawdach żywotnych narodu polskiego", które to dzieło stało się twórczym motorem w rewolucyjnym dynamizowaniu nastrojów postępowo - społecznych w kraju, nazywa w swoich „Prawdach żywotnych" przyszłe powstanie polskie — „wojna ludowa" a w ludzie widzi nowy kierowniczy czynnik historyczny w przyszłej społecznie przebudowanej Polsce.

Jeszcze skrajniej ujmuje to zagadnienie Edm. Dembowski w rozprawce „Kilka myśli o eklektyźmie" (drukowanej w pozn. „Roku", tom IV, r. 1843). Oceniał on lud, jako najwyższą kreacje dziejotwórczą — w bliskiej przyszłości, lecz również rolę pionierską na niwie sztuk pięknych literatury i twórczości naukowej. Trzeba tu przyznać częściowo słuszność L. Sobierajskiemu, że Dembowski przeoczał w istocie ówczesną rzeczywistość ludową tj. realną pozycję ludu w społeczeństwie polskim, dalej, że między teoria ludowładztwa Dembowskiego, wynosząca lud na piedestał naczelnej klasy społecznej, a ówczesnym pańszczyźnianym poziomem życia ludowego w Polsce leżała przepaść! To prawda. Ale nie należy przypisywać Dembowskiemu rzekomo wspólnej z romantykami „koncepcji ludu serdecznego" obcej i Dembowskiemu i jego romantycznym współcześnikom.

W związku z moim szkicem historycznym o Jakubie Szeli zauważa Sobierajski w swoim wnikliwym i ciekawym artykule, że przychyłam się do stanowiska wcześniejszych badaczy. Jest to niestety nieporozumienie. Historiografia polska traktowała bowiem Szelę jako postać kryminalną, piętnując go bezwzględnie jako zbrodnicze narzędzie, ciemne i bezkrytyczne — polityki austriackiej.

Podobne stanowisko zajął również wobec niego Anton Springer, historyk niemiecki, w dziele pt. „Geschichte Oesterreichs seit Wiener Frieden 1809" (rok wydania 1863 Lipsk) oraz półoficjalny austriacki historyk tej epoki M. Sala (Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846). Ten ostatni, rozumie się, próbował rehabilitować politykę austriacką, przerzucając winę za rzeź galicyjską na miejscową biurokrację austriacką oraz Szelę. Ja natomiast przeciwstawiając się próbom wybielania Szeli (co uczynił prof. Mich. Janik w rozprawie Zesłania Jakuba Szeli na Bukowinę") oraz heroizowania go w stylu Br. Jasieńskiego, który nie wahał się dopatrzyć w nim aż wyrzutu sumienia dziejów, stwierdziłem wbrew stanowisku moich poprzedników badawczych, że Szela był mimo swojego sadyzmu osobistością, mającą bezsporną świadomość klasową, walczącą w imię społecznych interesów ludu. Jeżeli moi poprzednicy w badaniach swoich nad tą epoką przeoczali społeczno - historyczny aspekt rzezi galicyjskiej względnie nie doceniali jego wagi, to ja podkreśliłem z naciskiem ten właśnie punkt widzenia.

Ale równocześnie w imię prawdy historycznej muszę tu powtórzyć, że niepodobna idealizować i wybielać Szeli: na którym bądź cobądź ciążyła odpowiedzialność za wybuch rzezi galicyjskiej, która pochłonęła 2 tysiące i kilkaset istnień ludzkich.

Nie wolno o tym zapominać, że badacz zjawisk dziejowych ma nie tylko pełne prawo, ale również obowiązek wartościować je ze stanowiska pragmatycznego ciężaru gatunkowego a równocześnie ze stanowiska społeczno - etycznego.

Książki nadesłane do Redakcji

Wydawnictwa „Czytelnik"

Natalia Gąsiorowska — Kapitalizm w rozwoju dziejowym — str. 151,

Zofia Kossak — Warna — str. 173,

Stanisław Łukasiewicz — Nauczyciele — str. 351,

Zofia Nałkowska — Medaliony — str. 88,

Ksawery Pruszyński — Trzynaście opowieści — str. 327,

Jerzy Putrament — Rzeczywistość — str. 523,

Władysław Rymkiewicz — Rafał z lasu — str. 195,

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz — Gwiazda generała Sikorskiego — str. 450.

Prenumerata „Wsi" wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**

Komitet redakcyjny: **Zygmunt Kałużyński, Stefan Lichański, Stanisław Piętak, Leonard Sobierajski.**

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś", Łódź, Piotrkowska 96. I p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź ul. Żwirki 2. D—012415